Jednota

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

2/81

Rocznik XXIV (XXXIX)

CO WY NA TO?

W pewnej parafii nabożeństwo niedzielne zostało odprawione przez duchownego reformowanego, który nie trzymał się ściśle agendy i, według zwyczaju swego Kościoła, przez cały czas był zwrócony twarzą do zboru a nie do ołtarza. Wywołało to sprzeciw miejscowej Rady Parafialnej wobec prowadzeenia w przyszłości nabożeństw przez duchownego reformowanego.

Ten dość drastyczny przypadek, przytoczony tu jedynie jako przykład dla zilustrowania pewnych postaw, nie odnosi się wyłącznie do parafii, o której mowa. Mógłby, w zmienionych okolicznościach, przydarzyć się również w jakiejś parafii reformowanej, bo i u nas ujawnia się niechęć do zmian w porządku niedzielnego nabożeństwa. Ludzie są przywiązani do ustalonych form, a zwłaszcza w dzisiejszym świecie, gdzie zachodzi mnóstwo drobnych, a także poważnych zmian, gdzie zdaje się, że nie ma niczego trwałego, chcielibyśmy mieć miejsce ustabilizowane i najchętniej widzimy je w Kościele niezmiennym, trwałym, nie podlegającym ustawicznym przemianom. Jest to psychologicznie zrozumiałe. Wszelako każda sprawa ma co najmniej drugą jeszcze stronę. Niezmienność form grozi skostnieniem, prowadzącemu nabożeństwo duchownemu — rutyną, uczestniczącym wiernym — zobojętnieniem, utraceniem wrażliwości na to, co się dzieje w czasie nabożeństwa.

Pismo święte Nowego Testamentu nie zawiera żadnych wyraźnych wskazówek co do formy zgromadzenia wiernych, którzy zbierają się w określonym miejscu i o oznaczonym czasie na wspólną modlitwę, słuchanie Słowa Bożego, uczestniczenie w sakramencie, aby oddać cześć Bogu. Możemy kierować się tylko ogólnymi przesłankami, takimi jak nakaz dany przez Jezusa, aby głosić Ewangelię całemu światu, chrzcić w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, obchodzić Wieczerzę Pańską zgodnie z ustanowieniem przez Jezusa Chrystusa na Jego pamiątkę, wspólnie modlić się i śpiewać Bogu na chwałę, ściśle przestrzegać uczestniczenia w nabożeństwach, zgodnie z napomnieniem autora Listu do Hebrajczyków, aby nie opuszczać wspólnych zgromadzeń.

Jest natomiast rzeczą jasną, że forma, w jakiej to wszystko ma się odbywać, nie została w żaden sposób raz na zawsze określona, z czego wynika całkowita swoboda w jej ustaleniu. Swoboda w ustaleniu nie oznacza jednak bałaganu i niczym nie skrępowanej dowolności. Bóg nie jest Bogiem nieładu — poucza apostoł Paweł. Musi to być więc forma ustalona, aby każdy uczestnik nabożeństwa wiedział kiedy, co i dlaczego się dzieje.

Bieda jednak z tym, że ustalone i przyjęte w Kościele formuły nabierają cech nienaruszalnego kanonu i każde odchylenie burzy spokój wielu ludzi, jakby było zamachem na samą Prawdę. Niektórzy miewają nawet wątpliwości, czy takie odchylenia, albo po prostu pomyłki nie czynią nieważną czynności, do której dany tekst się odnosi.

Kiedyś młody ksiądz pełen zapału przygotował własną modlitwę i zmówił ją podczas nabożeństwa, uważając to za rzecz całkiem normalną. Tymczasem starszy pastor bardzo niezadowolony powiedział, że mądrzejsi ludzie układali modlitwy zamieszczone w agendzie, więc należy się ich trzymać. A przecież modlitwa, również modlitwa wspólnotowa w kościele, jest czymś tak bardzo osobistym i bezpośrednim, tak aktualnym, że trzymanie się sztywnej i z konieczności ogólnikowej formuły agendarnej zakrawa co najmniej na przesadę, jeśli nie na gwałt zadany samej istocie modlitwy. W Nowym Testamencie mamy multum przykładów, że nie modlono się „z kartki", tylko zwyczajnie, z serca.

A Modlitwa Pańska? Co z niej zrobiono? Suchą, sztywną, odklepywaną formułkę pacierza, dobrą na każdą okazję, żeby się wykręcić, kiedy „trzeba" się pomodlić. „Tak się módlcie" nie musi wcale oznaczać, że trzeba tak a nie inaczej, tylko że został w niej podany przykład, w jaki sposób zwracać się do Ojca w niebie.

CO W NUMERZE?

Składając hołd pamięci zmarłego 18 listopada 1980 ks prof. Wiktora Niemczyka, jednego z najwybitniejszych duchownych ewangelickich, organizatora i byłego rektora Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, drukujemy jego kazanie pt. **Nie bez przyczyny...** (s. 3). O życiu i pracy **Ks. Wiktora Niemczyka** pisze Karol Karski na s. 5. O niechęci do zmian w porządku nabożeństwa piszemy w stałym felietonie **Co wy na to?** na s. 2.

W związku z ogłoszonym przez ONZ rokiem ludzi niepełnosprawnych, Wanda Mlicka przygotowała na naszą prośbę serię artykułów na ten temat. Pierwszy z nich, pt. **Ci inni...** zamieszczamy na s. 6. W kolejnym krótkim rozważaniu pt. **Najwyższa poprzeczka** (s. 9) Joanna Mizgała zastanawia się nad związkiem, jaki zachodzi między czynem a zamiarem.

Czesław Miłosz — bliski nieznajomy (s. 10) to krótki wstęp do kilku fragmentów poezji laureata nagrody Nobla. Na s. 11 drukujemy **Wyjątek z „Traktatu moralnego"**, a na s. 12 — kilka **Psalmów** w jego przekładzie.

„Starość może być najlepszym okresem życia...". Przytaczając słowa prof. Antoniego Kępińskiego Alina Werner pisze na temat możliwości działania wówczas, **Kiedy nie możemy już pracować zawodowo** (s. 13).

O genezie i działalności Wspólnoty Jerozolimskiej pisze s. Kinga Strzelecka w **Rozmowach przy studni** (s. 14).

Odezwę Zarządu Polskiej Rady Ekumenicznej zamieszczamy na s. 17. W dziale listów (s. 18) drukujemy **Głos w dyskusji o ordynacji kobiet. Przeglądem ekumenicznym** (s. 20) i działem **Z prasy** (s. 22) zamykamy numer.

NASZA OKŁADKA

„...Starość może być najlepszym okresem życia, w którym osiąga się życiową mądrość i czuje się prawdziwy smak życia..." (prof. Antoni Kępiński).

Ks. WIKTOR NIEMCZYK (†)

Nie bez przyczyny...

„Zrozumcie, żem to wszystko nie bez przyczyny uczynił, com uczynił".

Ez. 14 : 23b

Obserwacja świata zewnętrznego naprowadziła człowieka na myśl, że u podłoża każdego zjawiska, każdego wydarzenia i faktu leży jakaś przyczyna. Na tej podstawie stworzono w dziedzinie nauk przyrodniczych prawo tzw. związku przyczynowego, które głosi, iż cokolwiek się dzieje, dzieje się nie samoistnie, mocą przypadku lub przypadkowych sił, które w danym momencie same zaistnieją wywołując jako rezultat dane wydarzenie, fakt lub zjawisko, ale pod wpływem jakiejś konkretnej przyczyny, istniejącej poza obrębem tego, co składa się na całokształt danego zjawiska czy wydarzenia. Mając z nimi do czynienia, pragnąc je zgłębić i opanować, doszukuje się człowiek we wszystkim, co istnieje, jakiejś przyczyny, bo jest świadom, iż poznanie przyczyny ułatwi mu poznanie skutku bądź ewentualne zaradzenie mu w przypadku, gdyby wynikać z niego miała jakaś niekorzyść, w przypadku gdyby powstać miała przeszkoda w pełnym rozwinięciu możliwości życia.

Jednakowoż główne zasady owego prawa związku przyczynowego zdają się być jednostronne, względnie jednostronnie stosowane w odniesieniu do przeróżnych zjawisk świata, w odniesieniu do rozmaitych wydarzeń i stanów życia ludzkiego. Uważa się, iż jakieś zjawisko świata zewnętrznego, fizycznego, materialnego przyczynę swoją może mieć jedynie w dziedzinie fizycznej, materialnej. Wyklucza się wszelką możność wzajemnego oddziaływania na siebie dwóch zasadniczych, krańcowo przeciwnych światów: MATERII I DUCHA, chociaż głębsze wejrzenie w sprawy wszechświata i biegu jego dziejów poucza, że niejednokrotnie przyczyna czysto duchowa wywołać może poważne skutki w dziedzinie materialnej, i odwrotnie, przyczyna czysto materialnego charakteru w swoim ostatecznym rezultacie sprowadza głębokie przemiany stanów duchowych. Przede wszystkim zaś nie wolno zapominać o tym, że BÓG, który wszak według swej najgłębszej istoty jest Duchem, powołał do bytu cały ten ogromny materialny kosmos, i jako STWÓRCA jest — jak to już w starożytności mówiono — prima causa, pierwszą przyczyną całego świata w całej jego różnorodności, więc i pierwszą przyczyną fizycznej, materialnej jego powłoki, choć sam jest czystym Duchem. Nie wolno zapominać o tym, że bieg dziejów tego świata spoczywa wyłącznie w ręku Bożym, jest rezultatem niematerialnej woli Bożej, chociaż te dzieje rozgrywają się i odbywają na terenie świata materialnego. Nie wolno zapominać o tym, że — jak Chrystus Pan powiedział — Bóg sam przyodziewa wspaniałą i krasną materialną szatą lilie polne i żywi ptaki niebieskie, wróbelka lotem kieruje i nie dopuszcza, by bez Jego woli upadł z dachu na ziemię. On, Bóg, jest Duchem, chociaż to całe życie na nieduchowym świecie pulsuje. To odczucie wyraża nasz dzisiejszy tekst biblijny.

W czasach normalnych, pomyślnych, spokojnych, zdrowych, w czasach, gdy wszystko zmierza torem zwyczajnym, gdy każdy człowiek ma swój normalnie zapracowany kawałek chleba i dach nad głową, gdy z życia wydobyć może potrzebną dla pokoju wewnętrznego dozę zadowolenia i szczęścia, prawda o Bogu-Stwórcy i Bogu-Rządcy dziejów może rozbudzić w sercu ludzkim uczucie wdzięczności dla Tego, w którym „żyjemy i ruszamy się, i jesteśmy", uczucie zależności od Tego, bez czyjego woli ani wzrost nasz się nie wzmoże, ani włos barwy nie odmieni, ani z głowy nie spadnie.

Natomiast czasy złe, niespokojne, pełne napięcia, klęsk i niedomagań, czasy, w których fundamenty i sklepienia gmachu życia trzeszczą pod nogami i chwieją się nad głowami grożąc każdej chwili runięciem i pogrzebaniem pod gruzami milionów ofiar ludzkich, przeważnie niewinnych (jak w czasach Chrystusa Pana wieża syloańska w Jerozolimie zawaliwszy się zgotowała grób straszny licznym Jeruzalemczykom — przypadkowym przechodniom) — takie czasy stawiają przed duszą ludzką liczne wątpliwości i pytania, które niepokoją i o drżenie przyprawiają każdy nerw: czy istotnie BÓG, o którym religia głosi, iż jest dobrym Ojcem, może czynnie kształtować stosunki na tym świecie, stosunki, które brane jeden po drugim, jawią się przed okiem zrozpaczonego człowieka jako klęska, cierpienie, niedola, nędza, trwoga, lęk, niepokój? Dlaczego ten, rzekomo dobry Bóg, nie zmieni na lepsze stanu, w którym człowiekowi po prostu tchu już czasem brakuje? Może tego Boga wcale nie ma? A jeśli istnieje, to jako zazdrosny, zawistny, nienawistny, złośliwy, kapryśny demon, chciwie pijący krew swoich ofiar, chciwie wsłuchujący się w echo jęków, skowytów, biadań i narzekań. Albo jest jakąś ślepą siłą, którą kieruje przypadek — nieuchwytną, więc nieodpowiedzialną... W takim razie nędzny i marny mój los! — wo-

ła człowiek, owa nieszczęsna ofiara nieporozumienia losu, jak trzeba by go wtedy nazwać. Podczas takiej szamotaniny, pod brzemieniem pytań i zagadek i wśród odgłosów takich pytań gaśnie w i a r a, a z nią gasną dusze, zatracając swą łączność z Tym, który jest w s z e c h d u s z ą. Nastaje zmierzch wiary i duszy.

W takich czasach żyjemy obecnie. Możemy o nich za apostołem powiedzieć: „Czasy są złe" — złe dla jednostek, złe dla społeczeństw, złe dla całych części świata, dla całej ludzkości. Złe dla jednostek, bo każdy stał się wilkiem drapieżnym dla drugiego, czyhającym tylko jak by tu podejść, złupić, zgubić. Złe dla społeczeństw — bo odgrodzono się od siebie nieprzebytymi przepaściami nienawiści narodowej, rasowej, klasowej. Całe części świata zamykają się zazdrośnie w sobie, stwarzają chińskie mury nie do przebycia i nieraz z satysfakcją przyglądają się powolnemu konaniu mieszkańców innych lądów. Złe są pod względem materialnym, bo gdy jedni opływają w dostatki, których nie sposób nawet wyliczyć, inni są wyzyskiwani i pozbawieni możliwości upomnienia się o najelementarniejsze prawa. Moralny zmysł został wypleniony, jeszcze nie zagoiły się rany po jednej straszliwej wojnie, a już wybucha zarzewie nowej. Jedni urządzają sobie beztroski taniec dookoła złotego cielca użycia i rozpusty, a dla innych już trumnę się gotuje, by wieko jej przybić gwoździami używania i wyuzdania cielesnego. Złe są przede wszystkim z tego powodu, że trudno dojrzeć oznaki, by zmiana na lepsze nastąpić miała bez nowego upustu drogocennej krwi, bez zniweczenia ledwo co odbudowanych zgliszcz i ruin. Zbierają się powołani przedstawiciele narodów i części świata, by radzić nad uchronieniem swoich ludów od zagłady, ale rozchodzą się od zielonych stolików nie znajdując innego środka zaradczego krom gwałtu, przemocy i zagłady. Szukają przyczyn, bo wierzą, iż ich znalezienie i usunięcie uratuje to, co jeszcze uratować można, ale — jak dotąd — szukają daremnie. Dlatego daremnie, iż fałszywą drogą poszli w swych poszukiwaniach. W gruncie rzeczy wiele oszczędzono by sobie trudu i łatwo wkroczono na grunt dobrej, zdrowej r a d y, gdyby zechciano zwrócić oko na starą, dziś tak zapomnianą księgę, skąd bije źródło wszelkiego światła i wszelkiej rady, gdzie są środki zaradcze na udręki, i balsamy kojące nawet najbardziej jątrzące się i niebezpieczne rany — gdyby zechciano zwrócić wzrok na B i b l i ę. Na jej kartach wypisał z natchnienia Bożego Jego sługa, prorok Ezechiel, krótkie, ale znamienne i cały dzisiejszy stan kryzysu tłumaczące, słowo: „ZROZUMCIE, ŻEM TO WSZYSTKO NIE BEZ PRZYCZYNY UCZYNIŁ, COM UCZYNIŁ".

Żadne rozumowanie i mądrzenie się nie zmieni tego, może i strasznego, ale oczywistego faktu, iż Bóg sam jest czynny we wszystkim, co się dzieje. Iż Jego to dzieło, Jego czyn, Jego sprawa i Jego — przyznajmy to — Jego d o p u s t! Za kryzysami stoi On — nie po raz pierwszy, ale i nie po raz ostatni. On, który niegdyś falami strasznego potopu oczyszczał ziemię z nieprawości synów ludzkich. On, który swemu ludowi wybranemu odebrał niezawisłość państwową i w kajdany niewoli babilońskiej wtrącił. On, który niegdyś nawiedzał i do dziś nawiedza ziemię klęską miecza, głodu i zarazy. On, który przeciw ludowi swemu, Izraelowi, skierował — jako rózgę karzącą — niewiernych

Radość

Ojcze w niebie,
My, ludzie, jesteśmy stworzeni do życia w radości.
Tak, cały świat zaprojektowałeś do radości.
Widziałeś, że Twoje stworzenie było bardzo dobre
i chciałeś się światem radować.
Odczuwamy też, jak skonstruowałeś nas, ludzi,
gdyż nie umiemy stłumić tęsknoty serca
i przez całe życie nie rezygnujemy
z poszukiwania radości.
Tylko jedno sprawia nam problem:
gdy cieszymy się,
gdy dobrze nam się powodzi,
gdy czujemy się silni,
właśnie wtedy wyobrażamy sobie,
że już nie potrzebujemy Ciebie.
Daj nam poznać
że nasz śmiech,
nasza radość
i nasze poczucie siły
są zgodne z Twoimi prawdziwymi zamiarami.
Amen.

Peter Karner

Asyryjczyków i Babilończyków, a dziś w rękę przeciwników wkłada swój Boży bicz przeciwko swojemu Kościołowi... On to wszystko czyni! Ale czyni nie bez przyczyny.

Jak kochający ojciec nie ścierpi wybryków choćby najbardziej umiłowanego dziecka, ale podniesie na nie rękę swoją i ukarze — nie w tym celu tylko, by ból odczuwało jako karę za przewinienie, ale także jako napomnienie i srogie memento! — aby je wychować i wykierować na człowieka, tak i dopusty Boże w postaci przenajróżniejszych kryzysów kładących się brzemieniem na barki nasze — są nie tylko karą za przewinienia obciążające społeczeństwa ludzkie, ale i ostrzeżeniem, bolesnym — ach, jak bardzo bolesnym — memento, że czas zawrócić z błędnej drogi, bo ratunek jeszcze jest możliwy.

Jak niegdyś Chrystus Pan — spoglądając na dumne budowle jeruzalemskie i okiem proroczym widząc, że z tego wszystkiego kamień na kamieniu nie pozostanie — mówił do ludu swojego: „Obyś poznało, o miasto Jeruzalem, co służy pokojowi twemu" — tak niechaj i wszystko to, co bolesnego spotyka nas w postaci udręk codziennych i niepokojów, będzie takim ostrzegawczym głosem: obyśmy poznali i oby poznał razem z nami cały świat, co służy pokojowi naszemu. Obyśmy dostrzegli w tych ciężkich razach i ciosach Jego ojcowską dłoń, i zawrócili z błędnej drogi. Kiedyś odjęty będzie kielich dzisiejszej goryczy od ust naszych, daleko pozostaną niedole, nawet ostatnia niedola umierania. On, znowu On, da nam zrozumienie, że to wszystko nie bez przyczyny uczynił, co uczynił.

Tymczasem zaś niechaj mottem naszego dnia staną się słowa, które pieśniarz wyśpiewał:

„Wiec powinności pełnij swoje,
Na myśli zawsze Boga miej,
On ześle Tobie łaski zdroje,
I mieć Cię będzie w pieczy swej.
Bo Bóg odwróci wszelki cios,
Od tych, co zdali nań swój los..."

Kazanie pochodzi z materiałów udostępnionych nam przez rodzinę.

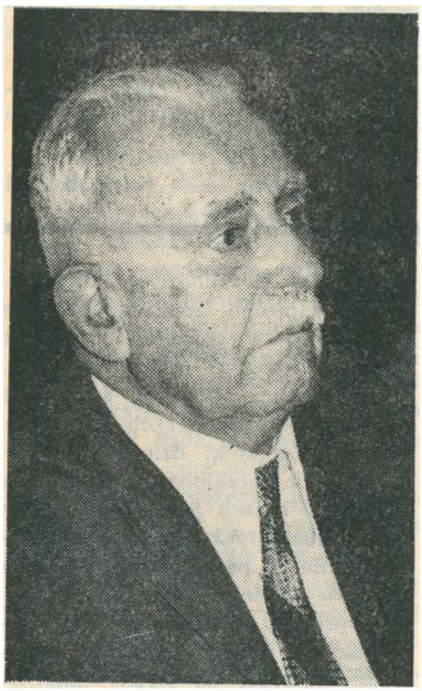

Ks. Wiktor Niemczyk

(1898–1980)

18 listopada 1980, na dwa dni przed ukończeniem 82 lat, zmarł w Warszawie ks. prof. dr Wiktor Niemczyk, duchowny Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, ostatni dziekan Wydziału Teologii Ewangelickiej na Uniwersytecie Warszawskim, pierwszy rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, jeden z najwszechstronniejszych polskich teologów ewangelickich w ostatnich dziesięcioleciach.

Ks. W. Niemczyk urodził się 20 listopada 1898 w Bystrzycy nad Olzą. Ukończył polskie gimnazjum w Cieszynie, skąd wyniósł podziwianą przez wielu znajomość łaciny i greki oraz utwierdzoną świadomość narodową. W latach 1916—1920 służył najpierw w armii austriackiej, a potem w polskiej. Bezpośrednio po demobilizacji zapisał się na organizujący się właśnie w Warszawie Wydział Teologii Ewangelickiej. Studiował cztery lata, w tym rok w Wiedniu, gdzie pogłębiał znajomość języków, dziejów religii i kultury ludów Bliskiego Wschodu. Dyplom otrzymał w czerwcu 1924, a w listopadzie został ordynowany.

Po krótkim wikariacie w Cieszynie przeniósł się do Krakowa, gdzie tamtejszy zbór wybrał go na proboszcza. Bezpośrednio po wybuchu drugiej wojny światowej rozpoczął się trudny etap w jego życiu. Decyzją okupanta został pozbawiony urzędu proboszcza i wysiedlony do Czernichowa, gdzie aż do wyzwolenia żył w bardzo trudnych warunkach materialnych. W styczniu 1945 wrócił do Krakowa, by dalej służyć swemu zborowi. Czekały go jednak nowe trudne zadania. Pełnomocnik rządu na Dolnym Śląsku powołał go jako rzeczoznawcę do spraw kościelnych. Pełnił więc tę funkcję i nadal administrował zborem w Krakowie, a jednocześnie uczestniczył w odbudowie życia całego Kościoła. Ze względów zdrowotnych musiał jednak złożyć wszystkie funkcje i jesienią 1949 przeniósł się na stałe do Warszawy. Odtąd poświęcił się pracy naukowo-dydaktycznej.

Praca naukowa, obok duszpasterstwa, trwale wypełniła jego życie. Doktoryzował się w 1932, habilitował w 1938 i jako docent rozpoczął wykłady religioznawstwa na Wydziale Teologii Ewangelickiej UW. W maju 1946 otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego, w 1956 — na zwyczajnego. W 1948 objął stanowisko prodziekana Wydziału, a w 1952 — dziekana. Wspomniana na wstępie jego wszechstronność zaczęła się w tym

okresie w pełni przejawiać. Doktoryzował się z dziedziny Starego Testamentu („Idea zbawienia i odkupienia w religii Starego Testamentu"), praca habilitacyjna dotyczyła zagadnień religioznawczo-filozoficznych („Zagadnienie cierpienia w religii i filozofii"), a po wojnie, gdy okazało się, że nie ma kto objąć katedry teologii systematycznej, bez wahania przyjął wykłady dogmatyki i etyki, a z czasem — zachowując historię i filozofię religii — wykładał jeszcze historię dogmatów i symbolikę.
Gdy w 1954 władze państwa usunęły Wydział Teologii Ewangelickiej z Uniwersytetu Warszawskiego i powołały odrębną uczelnię — Chrześcijańską Akademię Teologiczną — ks. W. Niemczyk został jej pierwszym rektorem. Funkcję tę sprawował przez 11 lat. Za jego kadencji uczelnia zaczęła kształcić nie tylko ewangelików różnych wyznań, lecz także starokatolików i prawosławnych. W 1965, gdy zrzekł się funkcji rektora, okazało się, że jego wszechstronność raz jeszcze stanie się uczelni niezbędna. We wrześniu tego roku zmarł ks. prof. dr Karol Wolfram, kierownik Katedry Wiedzy Nowotestamentowej i Języka Greckiego. Z braku odpowiedniego kandydata ks. W. Niemczyk zgodził się ją objąć i — rezygnując z katedry teologii systematycznej — kierował nią aż do swej emerytury (1969). Jego odejście z uczelni nie oznaczało bynajmniej zerwania więzi z Akademią ani poniechania pracy naukowej.

Wszechstronność ks. W. Niemczyka znajduje odbicie w jego dorobku naukowym. W bibliografii, obejmującej ponad 200 większych lub mniejszych prac, znajdują się publikacje z dziedziny Starego Testamentu, religioznawstwa, doktryny luterańskiej, współczesnej myśli protestanckiej i ruchu ekumenicznego. Integralną częścią działalności naukowej zmarłego była jego praca nad nowym przekładem Pisma świętego. Od 1949 był członkiem Komisji Przekładowej. Przetłumaczył kilka pism Nowego i większość ksiąg Starego Testamentu. Cała Biblia, w nowej szacie językowej, ukazała się w 1975.

Ks. W. Niemczyk uważał się zawsze za wiernego sługę Kościoła. Wielokrotnie pełnił rolę gospodarza podczas dorocznych konferencji teologicznych księży Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, które odbywały się w lokalach Akademii w Chylicach. Często służył też konferencjom jako wykładowca. Po drugiej wojnie światowej był przez wiele lat członkiem Synodu i pracował w różnych jego komisjach. Wchodził też w skład Kolegium Redakcyjnego „Zwiastuna" i był autorem wielu artykułów i kazań. W 1957 reprezentował swój Kościół na III Zgromadzeniu Ogólnym Światowej Federacji Luterańskiej w Minneapolis (USA).

Na zakończenie wspomnijmy jeszcze o zaangażowaniu ekumenicznym ks. W. Niemczyka. Od chwili powstania Polskiej Rady Ekumenicznej (1946) współpracował z nią aktywnie przez wiele lat, a w okresie sprawowania funkcji rektora przewodniczył Komisji Teologicznej. Był jednym ze współzałożycieli Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej pod koniec lat pięćdziesiątych.

Chrześcijańska Akademia Teologiczna w 25-lecie swego istnienia (1979) nadała ks. prof. dr. hab. Wiktorowi Niemczykowi tytuł doktora honoris causa. Zmarły posiadał też kilka wysokich odznaczeń państwowych.

Karol Karski

WANDA MLICKA

Ci inni...

On zaś kładł na nich ręce i uzdrawiał ich.

Łuk. 4 : 40

Nie wiadomo dokładnie, ilu ich jest w naszym kraju. Ich — tych, o których mówimy: inwalidzi, ułomni, niepełnosprawni fizycznie, kalecy. Tych, których zdarza się nam spotkać na ulicy, w szkole, kościele, na uczelni, w kinie, w sklepie... Od których odwracamy z zażenowaniem wzrok albo obrzucamy litościwym spojrzeniem, w których wpatrujemy się z okrutną, zachłanną ciekawością, których wyśmiewamy... A jeżeli są członkami naszej rodziny? Z tym bywa różnie. Czasem wstydzimy się ich przed sąsiadami, chowamy przed ludźmi, skąpimy jedzenia i odzieży, odmawiamy prawa do normalnego życia. Albo — kochając i żałując — osłaniamy, wyręczamy, chuchamy, tym samym również odmawiając im prawa do normalnego życia. My — ludzie zdrowi i sprawni. Czy wszyscy tak czynimy? Nie. Ale winnych takiego postępowania jest wielu. Tak wielu, że problem inwalidztwa jest u nas problemem społecznym również w tym aspekcie.
Nie wiadomo, ilu inwalidów jest obecnie w Polsce. Statystycznych danych nie ma nieomal wcale. Z pewnym prawdopodobieństwem oblicza się, że stanowią około 15% ludności kraju. Wielu inwalidów nie jest w ogóle zarejestrowanych ani w placówkach służby zdrowia, ani w Polskim Towarzystwie Walki z Kalectwem, ani w Związku Inwalidów, ani w ZBoWiDzie. Wiadomo tylko, że chodzi o liczby duże, a zapewne znacznie większe procentowo w stosunku do ogółu ludności niż w innych krajach. Poza ofiarami II wojny światowej mieliśmy w pierwszych powojennych latach setki dzieci okaleczonych przez zaczajone w lasach, na polach i łąkach niewypały, a w latach 1953—1963 przybyła ogromna armia z porażeniami po polio (choroba Heinego-Medina). Ponieważ procent jest tak wysoki, inwalidztwo stanowi problem społeczny również od strony „instrumentalnej", gdyż chodzi o to, aby człowiek okaleczały był użytecznym członkiem społeczeństwa i mógł wykonywać taką lub inną pracę, nie będąc ciężarem dla innych.

W moich krótkich rozważaniach zajmę się pierwszym z dwóch wymienionych aspektów. O ile bowiem drugi z nich jest przede wszystkim sprawą instytucji, związków, a na szczeblu najwyższym — państwa, i od tych czynników oficjalnych zależy, o tyle pierwszy, społeczno-

-ludzki, jest sprawą nas wszystkich i zależy tylko od nas.

Rok 1979 UNESCO ogłosiło Międzynarodowym Rokiem Dziecka. Rok 1981 poświęcony jest ludziom kalekim. Kiedy zastanowimy się nad obiema tymi intencjami, staje przed przed nami dziecko kalekie, postać najtragiczniejsza, bo bezbronna i bez winy. Problemy tych dzieci są mi szczególnie bliskie i dobrze znane, gdyż pisząc książkę o Lubuskim Ośrodku Rehabilitacyjno-Ortopedycznym dla Dzieci i Młodzieży w Świebodzinie, czas pewien spędziłam wśród nich, biorąc udział w codziennym życiu, ciesząc się i smucąc razem z nimi. Dziś chciałabym podzielić się z Czytelnikami garścią faktów i refleksji, opowiedzieć historię życia kilkorga spośród spotkanych tam dzieci.

W Ośrodku nie tylko leczą, nie tylko przywracają dziecku maksimum możliwej dla danego przypadku sprawności fizycznej. Tam również wychowują, przywracają wiarę w życie, w ludzi, w siebie. Ale po pewnym czasie dziecko wraca do rodziny, do normalnych warunków życia. I co wtedy?

Prostowanie skrzywień psychicznych powstałych wskutek kalectwa wymaga — obok intuicji i serca — również pewnej wiedzy. Przyjęło się uważać, że kalectwo — to wyłącznie nieszczęście, rozpacz, niedołęstwo, zmarnowane życie. Godzimy się wewnętrznie z tym, że okaleczały człowiek prosi o jałmużnę, pomoc, miłosierdzie, że najwłaściwszym dla niego miejscem jest szpital bądź przytułek czy zakład. Jakże nieludzkie podejście, jak fałszywe założenia, nieprawdziwe wnioski, a w konsekwencji krzywdzące postępowanie...

— Społeczeństwo z reguły psuje nam naszą pracę — powiedział mi dyrektor Ośrodka, doktor Lech Wierusz — swoją niewiarą w możliwości twórcze i robocze człowieka okaleczałego, pogardliwym lub litościwo-życzliwym odsuwaniem go od trudów i wysiłków, tym jakimś podtonem urojonej wyższości zdrowego...

Tak jest rzeczywiście. Czy można to przezwyciężyć? Czy można udowodnić sobie i innym, że uszkodzenie ciała jest nieszczęściem oczywiście, ale wartości człowieka nie należy mierzyć stanem jego zewnętrznej powłoki?

Oto Marysia*. Ma lat czternaście i nigdy jeszcze nie chodziła. Porusza się — ba, biega! — na żółtym kuchennym stołku, który zwinnymi ruchami tułowia i kikutów ud zmusza do przemieszczania czterech drewnianych nóg. Wrodzony brak kończyny dolnej prawej i aplazja lewej. To znaczy, że lewa pozostała nie wykształcona, kończy się na poziomie uda i posiada szczątkową stopkę. Ta stopka będzie powodowała protezą. Marysia musi nauczyć się najrostszych odruchów warunkujących chodzenie, co równa się setkom godzin spędzonych na bolesnych ćwiczeniach, które z początku nie dają żadnych widomych rezultatów. Dni, miesiące, lata, protezy, kule, ćwiczenia, ćwiczenia, ćwiczenia — Marysia chodzi. Kończy liceum, opuszcza internat, przeprowadza się do samodzielnego mieszkania, zaczyna pracę w Ośrodku jako wychowawczyni, zaocznie studiuje pedagogikę. Co to znaczy: zaocznie? To znaczy, że Marysia jeździ do Torunia na konsultacje, kolokwia, egzaminy. Jeździ sama, przesiada się w Poznaniu, ruchomy cel litosnych spojrzeń, chamskich zaczepek i dowcipów, niedyskretnych pytań. Potem wielekroć pokonuje strome schody starego toruńskiego Uniwersytetu, ale to już naprawdę drobiazg. Czas płynie, znów mijają wypełnione nauką i pracą dni, miesiące, lata. Urocza, dowcipna, pełna życia i inicjatywy młoda kobieta jest dziś panią magister. I żoną.

Czternaście procent dzieci w wieku 10—14 lat wymaga rehabilitacji i nauczania specjalnego. Okazuje się jednak, że gdyby służba zdrowia rzetelnie opiekowała się dziećmi upośledzonymi, to wiele spośród nich mogłoby uczęszczać do szkół zwyczajnych.

„Literatura" 1980, nr 50-51

☆

Musimy sobie uświadomić trzy sprawy:

— dziecko upośledzone fizycznie może stać się pełnosprawnym człowiekiem tylko wtedy, gdy otoczenie ma do niego właściwe podejście;

— jednym z podstawowych warunków skutecznego leczenia i wychowania jest wyrobienie w dziecku kalekim aktywnej postawy psychicznej wobec świata, wyrobienie poczucia własnej wartości;

— rehabilitacja fizyczna musi postępować równolegle z rehabilitacją psychiczną.

Tyle teoria. A praktyka?

1. Dziecko kochane i akceptowane

Ośrodek leży daleko od Warszawy i mama przyjechała na pierwsze widzenie dopiero po pięciu miesiącach. Bo to i wydatek i czas... Tomek bardzo się ucieszył. Po godzinie zobaczyłam go w ogrodzie, jak ociągając się szedł o pół kroku za matką zmierzającą ku ławce.

---

* Wszystkie dane i przykłady wzięte z książki Wandy Mlickiej: „Powrót do życia", Warszawa 1975, Wyd. „Nasza Księgarnia".

— Siądź tu, rybciu, koło mamusi, masz czekoladkę, zjedz sobie, moje biedactwo. Co tobie za życie? A tyle razy mówiłam: nie skacz, nie czepiaj się tramwaju, będzie bieda. Ale czy ty kiedy posłuchałeś matki? I masz teraz, bez ręki. Całe życie zmarnowane. Chcesz jeszcze czekoladkę?

— A wie mamusia, ja tu codziennie w piłkę z chłopakami gram!

— Gdzie tam tobie do piłki. Patrzałbyś lepiej, żeby się czegoś wyuczyć. Ale co to można bez ręki, jeszcze bez prawej. Całe życie zmarnowane. A jak prosiłam: nie skacz do tramwaju, toś nie słuchał. Kaleka moja biedna, rybcia mamusina. Masz czekoladkę...

— Protezę dostanę, to mamusia zobaczy. Gieniek też ma i wszystko robi jak inni.

— Co tam proteza. Kawałek patyka i tyle, ręki nie zastąpi.

— Pan doktor mówi, że jak zostało tyle mięśni co u mnie, to już dobrze, bo poradzę ruszać protezą!

— Ale! Pan doktor mówi! A sam to ma dwie ręce, nie? Cudze dziecko, to tak może mówić. Serca trzeba nie mieć w piersi. Chcesz jeszcze czekoladkę?

2. Dziecko ongiś kochane, dziś nie akceptowane

Irenka szła kiedyś sama ulicą i wpadła pod tramwaj. Miała wtedy niecałe sześć lat. Stworzenie, które wyszło ze szpitala po kilku miesiącach walki ze śmiercią — niczym nie przypominało dawnej dziewczynki. Prawa noga amputowana do kolana, lewa ręka do łokcia, a z uroczej, delikatnej twarzyczki pozostały tylko ogromne szare oczy i trochę zadarty, gruby nosek — reszta pokryta była odrażającymi bliznami.

Dużo było w domu płaczu i lamentów z powodu Irenki. Dużo, ale niedługo. Rodzice byli młodzi, wkrótce urodziło im się drugie dziecko. Irenka zeszła powoli na plan dalszy i jakoś niepostrzeżenie stała się w domu popychadłem i zawadą. Nie mogła się przydać do noszenia niemowlęcia, a jej zeszpecona twarz raziła.

— Schowaj no się, bo goście idą... — mówił tatuś.

— Żebyś mi się nie pokazywała zanim ciotka nie wyjdzie — przykazywała mamusia.

Na szczęście dla wrażliwych rodziców znalazł się ktoś, kto poradził oddanie Irenki do Ośrodka. Starania przeprowadzone z uznania godnym pośpiechem dały pomyślne wyniki i Irenka wyjechała z domu, żegnana westchnieniem ulgi.

W Świebodzinie przeszła zwykłą metamorfozę dzieci zaszczutych. Z wiecznie zastraszonego, kryjącego się po kątach stworzenia wykluł się po roku żywy, uśmiechnięty i wesoły człowiek. Stała się też ulubienicą wszystkich, zapewne z powodu wyjątkowej przymilności i dobroci...

☆

Gorzko. Ale są też inni rodzice. Do Basi matka przyjeżdża co dwa tygodnie — w każdy dzień odwiedzin. Z daleka. Po całonocnej jeździe wychodzi z pociągu na opuchniętych nogach, z wymiętą, szarawą twarzą. Idzie ulicami miasteczka zrazu powoli, im bliżej jednak Ośrodka, tym raźniej. Matka Basi jest sprzątaczką w szkole, ojciec — woźnym. W domu troje małych dzieci.

— Mam co robić, pani kochana — mówi, przyśpieszając kroku. — Oprać, obszyć, jeść naszykować, wszystko sama, póki co... młode to jeszcze, a najstarsza w zakładzie. Filozofia matki jest prosta — Basi tu dobrze, leczy się, uczy, ma koleżanki, ale kiedyś przecie wróci do domu i trzeba, żeby wiedziała, że na nią czekają. Każdy człowiek musi mieć takie miejsce, o którym wie, że do niego przynależy. I zdrowy, i ten, co na niego wypadł niedobry los. Więc do dziecka trzeba jeździć, choć robota goni i w domu niejednego się nie dopatrzy.

— Niektóry to siądzie, ręce złoży i narzeka, co to go spotkało! — mówi matka Basi. — A to nic nie daje, losu nie zmienisz gadaniem.

Obecnie żyje w Polsce około 1,5 miliona dzieci kalekich (w wieku do 15 lat). Oprócz tego blisko 300 tysięcy młodych osób (też w wieku do 15 lat) jest poddawanych leczeniu psychiatrycznemu. Główne powody inwalidztwa: antybiotyki stosowane nagminnie przez lekarzy (?), chemikalia w gospodarstwie domowym; wypadki (uliczne, ale i na wybetonowanych placach zabaw), a także sport wyczynowy. Co roku zwiększa się liczebność tej grupy niepełnosprawnych. Z dobrodziejstw rehabilitacji korzysta nie więcej niż jedna trzecia potrzebujących.

„Literatura" 1980, nr 50-51

Do 120 przedszkoli specjalnych chodzi 6250 dzieci upośledzonych, do 700 szkół podstawowych — ponad 80 tysięcy takich dzieci, szkoły średnie zaś zapewniają naukę 20 tysiącom dzieci „specjalnej troski". W Warszawie zbadano warunki życia rodzin, wychowujących dzieci niepełnosprawne. Okazuje się, że 10 procent rodzin nie ma w mieszkaniu wodociągu, 11 procent — ustępu, ponad 14 procent — łazienki, blisko 16 procent — centralnego ogrzewania, 23 procent — ciepłej wody z kranu. Dwie trzecie tych rodzin nie dysponuje również telefonem, mimo że ich dzieci nieraz wymagają nagłej interwencji lekarskiej. Finansowo największym obciążeniem są — zdaniem badanych — wydatki na leki, zaś najtrudniej jest uzyskać specjalistyczną opiekę (typu: przedszkole, szkoła) lub poradę lekarską.

„Literatura" 1980, nr 50-51

I tu, widzę, myślą także samo, nikt się nie cacka. Baśka wszystko koło siebie zrobić musi i tyle.

— I nie żal pani, że się namęczy?

— Żal i nie żal — odpowiada po chwili namysłu. — Matkę zawsze serce o dziecko boli, ale niedołęgą być niedobrze, a z nierobienia — głupoty do głowy idą. To już lepiej tak.

☆

Niedołęgą być niedobrze... Prosta to prawda i, zdawałoby się, dostępna dla wszystkich serc i umysłów. Ale oto wynik ankiety, jaką rozesłano niegdyś do części rodziców byłych wychowanków Ośrodka. Nadeszło sto osiemnaście odpowiedzi. Wszystkie stwierdziły pełną początkową samodzielność osobistą dzieci (pytania dotyczyły wycho-

wanków w wieku od lat pięciu do dwunastu, a więc zależnych całkowicie od opieki dorosłych i od kierunku, jaki nadaje dom). Jednakże tylko pięćdziesięciu respondentów stwierdziło, że dziecko kalekie czuje się dobrze wśród pełnosprawnych fizycznie rówieśników, i tylko pięćdziesięciu orientowało się dostatecznie w zainteresowaniach swoich dzieci i dążyło do rozsądnego zorganizowania ich przyszłości. W pozostałych przypadkach byli wychowankowie nie kontynuują nauki, ich rodzice bądź opiekunowie pozostają obojętni w stosunku do przeżyć i potrzeb dziecka, a nawet nie dbają o to, aby w miarę jak rośnie wymieniać mu protezy i aparaty pomocnicze. W większości przypadków spycha to dziecko w stan nieudolności sprzed pobytu w Ośrodku.

Możemy oczywiście uznać, że tak mała próbka ankietowanych nie jest reprezentatywna. Jednakże, gdy porównamy wyniki z wynikami innej, równie niewielkiej liczbowo, ankiety, na którą odpowiedziało stu dwóch byłych wychowanków w wieku od czternastu do dwudziestu pięciu lat, to nawet te niewielkie liczby winny skłonić do niewesołej zadumy; świadczą bowiem o wyrządzonej krzywdzie, której chyba nie należy oceniać statystycznie. Druga ankieta skierowana była do tych, którzy przebywali w Ośrodku dłużej niż dwa lata i później uczestniczyli stale w organizowanych przez Ośrodek koloniach. Mamy więc do czynienia z ludźmi, którzy świadomie odbierali to, co starano się im wpoić w Ośrodku, a po powrocie do domu mogli świadomie sami kształtować swoje życie. Spośród ankietowanych pięćdziesiąt dziewięć osób kształciło się podówczas na wyższych uczelniach bądź w liceach, technikach czy szkołach zawodowych. Trzydzieści siedem osób pracuje zawodowo. Jedynie sześć osób nie pracuje i nie uczy się, ale są to przypadki ciężkiego kalectwa. Oprócz tych sześciu ciężko upośledzonych, wszyscy pozostali stwierdzili całkowitą niezależność osobistą od otoczenia. Spełniają też wszystkie przypadające na nich obowiązki codziennego życia domowego, aktywnie pracują społecznie i wszyscy uprawiają jakieś sporty, ćwicząc razem z ludźmi zdrowymi.

Część II w następnym numerze

JOANNA MIZGAŁA

Najwyższa poprzeczka

Mat. 5:27,32

Jeżeli człowiek współczesny, wychowany w klimacie nowoczesnego myślenia i racjonalnych, liberalnych poglądów na świat i ludzką egzystencję, czyta po raz pierwszy ten tekst biblijny — ma prawo czuć się zaskoczony. Bo przecież, według niego, rozwód w przypadku niezgodności małżonków jest rzeczą jak najbardziej rozsądną, nawet moralną, niemoralne zaś jest utrzymywanie stosunków małżeńskich polegających na obłudzie, zakłamaniu, nienawiści, wzajemnej nietolerancji.

Tak też, bardzo często, myśli współczesny chrześcijanin. Czytając więc o gromach, rzucanych przez Jezusa na rozwody i cudzołóstwo, może ten tekst odebrać jak rażący dysonans wprowadzony do swoich przekonań. Podobne odczucie można mieć jednak tylko przy pierwszym, pobieżnym czytaniu. Bo myśl Jezusa, posłanie, jakie chciał nam w tych słowach przekazać, sens Jego ostrej wypowiedzi jest inny, nie tak prosty i bezpośredni. W rzeczywistości chodzi w tym posłaniu o coś bardziej ważkiego niż banalna zdrada małżeńska. Problemem, jaki Jezus tu rozważa, jest maksymalizacja i minimalizacja postawy etycznej.

„Słyszeliście, że powiedziano przodkom: nie będziesz cudzołożył, a ja wam powiadam, że każdy, kto patrzy na niewiastę i pożąda jej, już popełnił z nią cudzołóstwo w sercu swoim."

Człon pierwszy tej wypowiedzi to przepis zakonu, Prawo, czyli minimum tego, co człowiek winien czynić. Natomiast człon drugi — słowa samego Jezusa — to jakby podwyższenie poprzeczki, bo chodzi nie tylko o bezpośrednie, konkretne czyny, ale także o ludzkie intencje. Złą rzeczą jest zły czyn, w tym przypadku cudzołóstwo, ale rzeczą jeszcze gorszą jest zła myśl kiełkująca w sercu, która z powodów obiektywnych nie znajduje ujścia w postaci złego czynu. Zły czyn nie następuje, ale czy człowiek staje się przez to lepszy? Złodziej nie ukradł, bo przestraszył się policyjnego pościgu, ktoś kogoś nie zdradził ze strachu przed zagniewanym współmałżonkiem. Czy to jest dostateczne usprawiedliwienie dla człowieka? Dla człowieka płytkiego — na pewno tak, bo nie złamał przykazania, nie przestąpił przepisu zakonu, nie popełnił grzechu. Ale czy pożądliwe patrzenie, mimo że do cudzołóstwa nie dochodzi, nie jest w oczach Boga grzechem bądź też jest mniejszym przewinieniem?

Otóż jest nawet czymś gorszym, bo złem ukrytym, nieuchwytnym, utajonym w podświadomości, tym mocniej więc zakorzenionym i trudniejszym do usunięcia, tym bardziej obciążającym człowieka w oczach Boga. Dlatego intencją Jezusa w tym posłaniu jest nie potępienie rozwodów, lecz wskazanie człowiekowi, iż przestrzeganie Prawa bez wnikania w głębszy sens przepisów jest nie gwarancją zbawienia lecz raczej gwarancją potępienia.

Człowiek musi sobie stawiać za cel maksymalne dobro, nie zaś wykonywanie minimum tego, co nakazano. Wówczas jest to tylko obłudą i twardością serca, sprzeciwem wobec Ewangelii, wręcz jej nieudolną karykaturą.

„Nie mniemajcie, żem przyszedł rozwiązać zakon albo proroków, nie przyszedłem rozwiązać lecz wypełnić" — mówi Jezus.

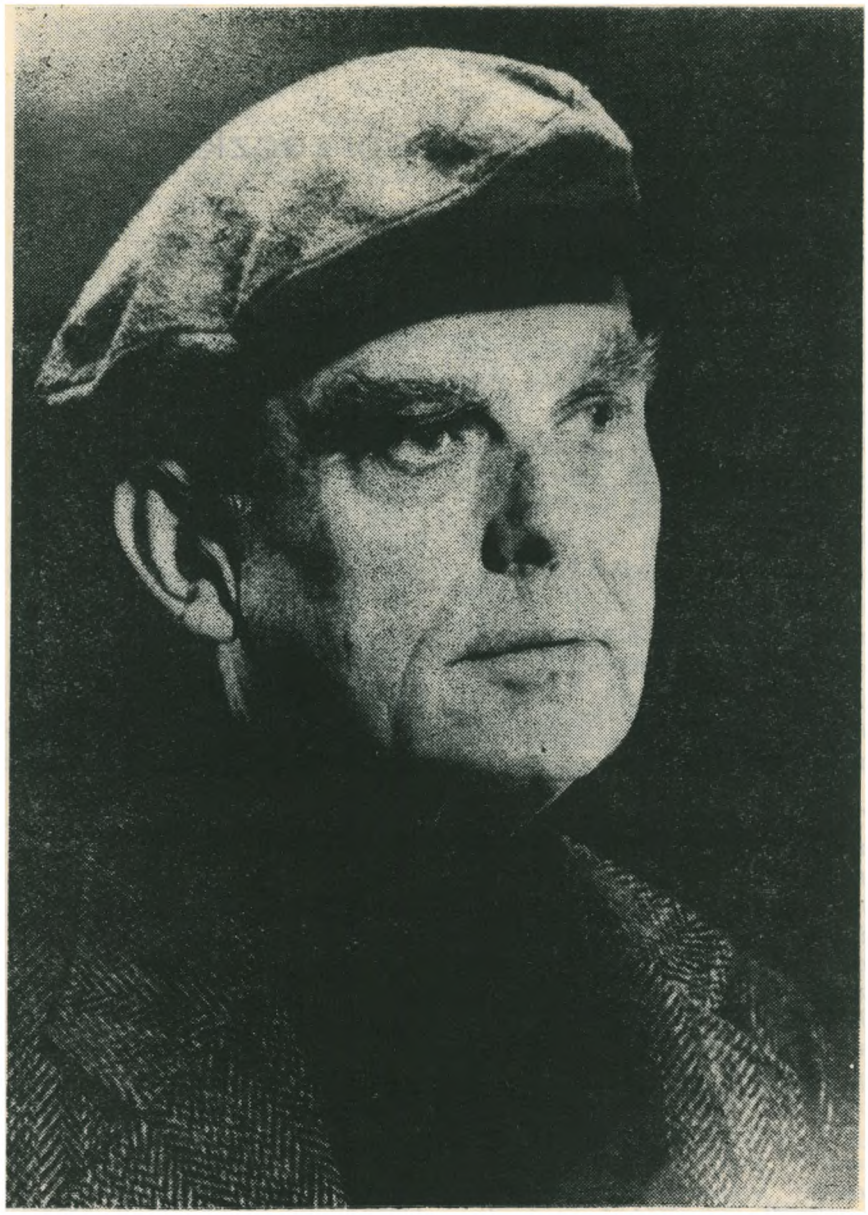

CZESŁAW MIŁOSZ

bliski nieznajomy

Aż Nobla było trzeba, aby imię i słowo Poety mogło zacząć swój nowy — legalny — byt pośród tych, do których przede wszystkim jest kierowane, byt pośród własnego narodu.

Wielką cenę zapłacił Poeta za swą bezkompromisowość i niezależność duchową — jeden z największych twórców współczesnej kultury polskiej, jej chluba i duma pisał „dla czytelników istniejących gdzieś poza miejscem i czasem, co inaczej nazywa się pisać sobie a Muzom" („Ziemia Ulro").

A jaką cenę płaci naród, który nie zna swojego Poety? Czy te straty i ich konsekwencje można w ogóle wymierzyć? Gdyby nie publikacje zagraniczne, gdyby nie wydawnictwa działające „poza zasięgiem cenzury" — znajomość poezji i prozy Czesława Miłosza byłaby w tym kraju żadna (poza kręgiem wtajemniczonych). Dziś jednak — znikoma wprawdzie, ograniczona i wyrywkowa — już jest obecna. Ludzie wycinają Jego wiersze z tygodników, ustawiają się w kolejkach po „Kędy wschodzi słońce i kędy zapada", nagrywają na taśmach magnetofonowych audycje radiowe o Nim, z rąk do rąk przekazują — przepisywane ręcznie lub na maszynie — fragmenty prozy i poezji, a także to, co przed Nagrodą Nobla ukazało się w Polsce oficjalnie — tłumaczenie pewnej partii Psalmów („Twórczość" z grudnia 1979), „Ewangelię według Marka" („Znak" 1977, nr z listopada-grudnia) i „Księgę Eklezjasty" („Tygodnik Powszechny" 1977, nr 11 i 12).

Trzeba teraz, by osoby, od których zależą decyzje wydawnicze, jak najszybciej uczyniły wszystko, aby poeta narodowy stał się poetą p o ś r ó d n a r o d u. Może jednak uda się nadrobić straty wynikłe z trzydziestoletniego milczenia. Lepiej późno niż wcale.

B. St.

Wyjątki z „Traktatu moralnego"

Ciebie zapraszam dziś do arki,
Która przez czasu potok wartki
Na nowe brzegi nas poniesie.
Lądujesz w zatopionym lesie,
Mgły opadają, w górze tęcza
I gołąb liść zielony wręcza.
Za sto, a może za lat dwieście,
Gdzieś w Taorminie, może w Trieście,
We Francji (Chinach Europy),
Czy tam, gdzie dzisiaj stolic groby –
Maleńkie centrum nauk błyśnie
I hasło nowej da ojczyźnie.
Patrz, jak zmieniona perspektywa:
Już nie to wielkim się nazywa,
Co się nam wielkim wydawało.
Kroniki są już kartą białą.
Ci, którzy dzisiaj dzieje tworzą,
Pod darń trawników głowę złożą,
Wnuk barbarzyńców zamyślony
W słońcu tam czyta stare tomy,
Dawny mu wawrzyn czoło pali.
Myśli o tych, co zachowali
I poprzez ciemność skarb przenieśli,
O którym znów się składa pieśni.

Lecz nie jest moim zamiarem
Przyszłość otaczać złudnym czarem.
Po przyszłościowej cóż iluzji,
Jeżeli dniom codziennym bluźni
I ufność nie po równi dzieli
Pomiędzy współobywateli.
Żyjesz tu, teraz. Hic et nunc.
Masz jedno życie, jeden punkt.
Co zdążysz zrobić, to zostanie,
Choćby ktoś inne mógł mieć zdanie.
Nowa k o n w e n c j a już się tworzy.
Nie mów: konwencja długich noży.
Nie wątpię, że jest bardzo zła,
Lecz wynalazłem ją nie ja.
Oskarżaj, jeśli masz ochotę,
W weneckich bankach sztaby złote,
Elżbietę, Lutra, kres Armady,
Wersalskie bale, defilady,
Tatarów, że nas najechali,
Wojnę Stuletnią – i tak dalej.
Choćbyś zazdrościł psom i ptakom,
Musisz ją przyjąć j a k o t a k ą,
A więc po prostu jak zdarzenie
Na naszej obrotowej scenie –
I płyniesz w tym społecznym fakcie,
Jak orzech w Nilu katarakcie.

Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.
I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,
Możesz, więc wpłyń na bieg lawiny.
Łagodź jej dzikość, okrucieństwo,
Do tego też potrzebne męstwo,
A chociaż nowoczesne państwo,
Na służbę grzmi samarytańską,
Zbyt wieleśmy widzieli zbrodni,
Byśmy się dobra wyrzec, mogli
I mówiąc: krew jest dzisiaj tania –
Zasiąść spokojnie do śniadania,
Albo konieczność widząc bredni
Uznawać je za chleb powszedni.
A więc pamiętaj – w trudną porę
Marzeń masz być ambasadorem,
Tych marzeń sennych z głębi mroku,
Co mają pulchną twarz baroku,
Albo spokojny żart etruski
W powiekach jak sosnowe łuski.
I trzy tysiące lat się wplata
W twój sen i przeszłość opowiada,
A politycznym twym wybiegom
Wtóruje rechot Rabelego.
...

Kto w smutnym znalazł smak cynizmie,
Ten się losowi nie wyśliźnie.
A z dobrą miną do złej gry
Na pewno nie chadzają lwy.

Zwróciłeś pewnie już uwagę:
Nacisk na sposób życia kładę.
Masę masz zrobić na tym polu,
Pomówmy więc o a l k o h o l u.

Pośród żarcików, anegdotek,
Szlachecki wspominając miodek,
Chyli się Polska w trudne czasy
Przed bóstwem wódki i kiełbasy.
I przed płaczami i po płaczach
Po prasłowiańsku się zatacza
I z czkawką licząc swe ubóstwo
Racji do chluby widzi mnóstwo.

Zjawisko wódki jest ciekawe,
Warto poświęcić mu rozprawę,
Ze wszystkich trunków ona jedna
Dymom zagłady jest pokrewna.
W niej miast płonących widać migot,
Przez cienkie szkło skazańcy idą,
A kiedy w nocy domy syczą
I w oknach pożar jest źrenicą,
Nad litrem z osowiałą twarzą
Zasiedli bracia Karamazow.
Jak nad mrowiskiem w letnim cieple
Zapach mrówczego kwasu krzepnie,
Tak odór nad nieszczęsnym krajem
Z dala podróżnym sygnał daje:
„Cywilizacja krwi i łez
La civilisation des punaises".
I choć się tobie wyda dziwne,
Że na to zło (fakultatywne)
Marnuję cenne ciało wiersza –
Kwestia jest ważna, choć nie pierwsza.
...

PSALMY

w przekładzie Czesława Miłosza

PSALM 1

1. Szczęśliwy, kto nie chodził za radą bezbożnych* i na drodze grzeszników nie postał*, i w gromadzie naśmiewców nie siedział.

2. Ale w prawie Pańskim ma upodobanie* i naukę Pańską bada w dzień i w nocy.

3. I będzie jak drzewo zasadzone u strumieni wód*, które wydaje owoc, kiedy jest jego czas*, i którego liść nie usycha*. A cokolwiek zacznie, powiedzie się.

4. Nie tak nieprawi, nie tak*. Ale są jak plewy, które wiatr wymiata.

5. Przeto nie ostoją się nieprawi na sądzie* ani grzesznicy w zgromadzeniu sprawiedliwych.

6. Albowiem poznaje Pan drogę sprawiedliwych*, a droga grzesznych zaginie.
Sela.

PSALM 8

1. Przewodnikowi chóru. Na modłę pieśni „Gittit". Psalm Dawida.

2. O Panie, Boże nasz, jak wspaniale imię Twoje po wszystkiej ziemi*, któryś wyniósł świetność Twoją nad niebiosa.

3. Przez usta dzieci i niemowląt ugruntowałeś chwałę* wbrew nieprzyjaciołom Twoim*, abyś wroga i mściwego poskromił.

4. Kiedy patrzę na Twoje niebiosa, dzieło palców Twoich*, na księżyc i gwiazdy, któreś ustanowił:

5. Cóż jest człowiek, że pamiętasz o nim*, syn człowieczy, że go nawiedzasz?

6. Uczyniłeś go niewiele mniejszym od niebieskich mocy*, chwałą i blaskiem ukoronowałeś go.

7. Postawiłeś go władcą nad dziełami rąk Twoich*, wszystko poddałeś pod stopy jego:

8. Owce i woły wszelkie*, jak i zwierzęta polne,

9. Ptactwo niebieskie i ryby morskie*, i cokolwiek chodzi po ścieżkach morza.

10. O Panie, Boże nasz*, jak wspaniale imię Twoje po wszystkiej ziemi!

PSALM 23

1. Psalm Dawida. Pan jest pasterzem moim*. Na niczym mi nie zbywa.

2. Na zielonych pastwiskach położył mnie*, nad spokojne wody mnie prowadzi.

3. Duszę moją posila*, prowadzi mnie po ścieżkach prostych* dla chwały swojego imienia.

4. A choćbym zeszedł w ciemną dolinę śmierci*, nie będę lękać się złego, bo Ty jesteś ze mną*. Twój kij pasterski i laska: one mnie będą wiodły.

5. Ty stół biesiadny zastawiasz przede mną na przekór moim wrogom*, głowę moją olejkiem namaszczasz*, a mój kielich przelewa się.

6. Szczęście i łaska podążają za mną* po wszystkie dni mego życia*. I zamieszkam w domu Pańskim* na długie czasy.

PSALM 90

1. Modlitwa Mojżesza, męża Bożego. Panie, ostoją nam byłeś* z pokolenia w pokolenie.

2. Przedtem nim narodziły się góry, nim począłeś ziemię i świat*, od wieczności na wieczność, Ty jesteś Bóg.

3. Obracasz człowieka w proch* i mówisz: „Wracajcie, synowie ludzcy".

4. Bo tysiąc lat w Twoich oczach* jest jak dzień wczorajszy, który minął*, i jak nocne czuwanie.

5. Porywasz ich i są jak sen poranny*, mijają niby trawa.

6. Rano kwitnie i pleni się*, wieczorem skoszona usycha.

7. Bo giniemy od Twego gniewu*, zapalczywość Twoja nas przeraża.

8. Postawiłeś winy nasze przed sobą*, przed światłem Twego oblicza grzechy nasze ukryte.

9. Wszystkie dni nasze mijają pod grozą Twego gniewu*, i lata nasze nikną jak westchnienie.

10. Liczba lat naszych jest siedemdziesiąt*, a przy siłach lat osiemdziesiąt*, ale za całą chwałę jest im trud i zgryzota*, i zaraz przemijają, i ulatujemy.

11. Któż zrozumie siłę Twego gniewu?* wedle Twojej grozy zapalczywość Twoja.

12. Liczyć dni nasze naucz nas*, abyśmy przywiedli serce do mądrości.

13. Zwróć się, o Panie! Jak długo jeszcze?* Ulituj się nad sługami Twoimi.

14. Nasyć nas o poranku łaskawością Twoją*, abyśmy weselić się i radować mogli* po wszystkie dni nasze.

15. Rozraduj nas na miarę dni, w których nękałeś nas*, na miarę lat, kiedy zaznaliśmy udręki.

16. Niech się objawi sługom Twoim dzieło Twoje* i chwała Twoja ich synom.

17. I niech będzie dobrotliwość Pana, Boga naszego, nad nami*, a sprawie rąk naszych pobłogosław*.
O tak, pobłogosław sprawie rąk naszych.

PSALM 100

1. Psalm dziękczynienia. Wykrzykuj Panu cała ziemio!

2. Służcie Panu z radością*, przed Jego oblicze idźcie z weselem.

3. Wiedzcie, że Pan jest Bogiem*, On stworzył nas i Jego jesteśmy*, lud Jego i owce Jego pastwiska.

4. Wchodźcie w bramy Jego z dziękczynieniem*, w przedsionki Jego z pochwalnym hymnem*, wysławiajcie Go, błogosławcie Jego imię.

5. Albowiem dobry jest Pan*, na wieki łaska Jego*, a wierność Jego z pokolenia w pokolenie.

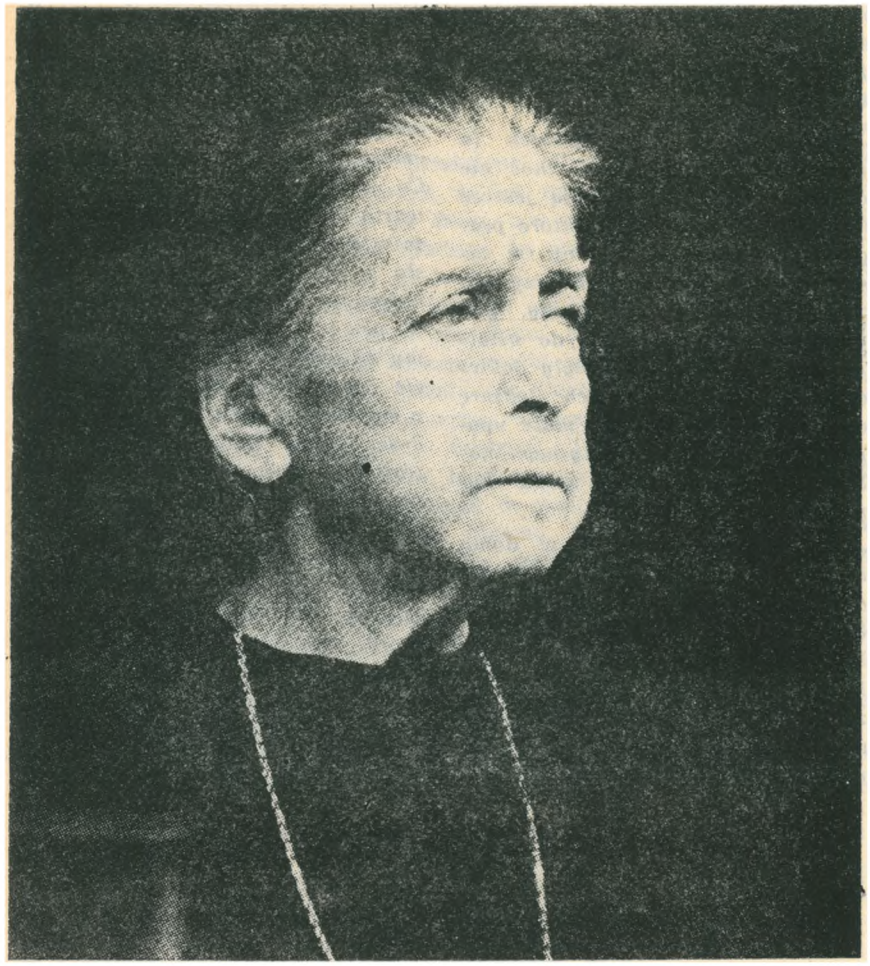

ALINA WERNER

Kiedy nie możemy już pracować zawodowo

„Człowiek stary broni się przed poczuciem, że się już w całości zrealizował. Broni się on również drobnymi celami i troskami dnia codziennego... To poczucie ujemnego bilansu jest, jak się zdaje, swoiste dla naszej epoki" — tak pisze znany psychiatra krakowski, Antoni Kępiński, w swej książce „Rytm życia". I dalej: „Podobnie jak jesień może być najpiękniejszą porą roku, tak i starość może być najlepszym okresem życia, w którym osiąga się życiową mądrość i czuje się prawdziwy smak życia..." Ostatni z powyższych cytatów zdaje się urągać naszym czasom, w których starość kojarzy się albo z zagonioną do ostatka babunią, dźwigającą w jednej ręce jakieś torby, a drugą popychającą wózek z wnukiem, albo z jeszcze gorszym obrazem zupełnie samotnego człowieka czekającego w nieopalonym pokoju na czyjeś odwiedziny.

A jednak... Skoro słowa te napisał taki znawca duszy ludzkiej, jak prof. Kępiński, to musi w nich być coś z prawdy. Przecież spotykamy różnych ludzi w podeszłym wieku nie obciążonych nadmiernymi obowiązkami, pogodnych i robiących wrażenie szczęśliwych. Nie narzekają na brak aktywności, widać, że ten najtrudniejszy (szczególnie dla mężczyzn) okres zaprzestania pracy zawodowej i przestawienia się na zupełnie inny tryb życia znieśli względnie bezboleśnie. Słyszy się wszakże i takie stwierdzenia: „Nie widzę już sensu życia", „czuję się samotny i nikomu niepotrzebny". Dziwnie brzmią takie słowa w sytuacji, kiedy tyle jest do zrobienia na świecie i każdy człowiek może być tak bardzo potrzebny. Pojęcie przydatności posiada różne aspekty. Na ogół sądzimy, że tylko w działaniu, w aktywności dla kogoś lub czegoś możemy czuć się potrzebni i pożyteczni. Poczucie takie jest dla nas konieczne, o ile chcemy zachować pogodę i równowagę wewnętrzną. Sądzę wszakże, że ujmując w powyższy sposób zagadnienie przydatności zawężamy znaczenie tego pojęcia. Możemy być potrzebni także i w postawie biernej, o ile wykształcimy w sobie pewne cechy, które będą promieniowały na otoczenie i w jakiś sposób mu służyły. Ten typ biernego „działania" może okazać się bardzo wskazany i dla nas samych i dla naszego otoczenia.

Pamiętam jedną z wypowiedzi w ogłoszonym przed laty w „Tygodniku Powszechnym" konkursie pt. „Jestem szczęśliwy". Otóż osoba przykuta od lat do łóżka pisze, iż czuje się szczęśliwa, bo jest nadal potrzebna, odwiedzana przez ogromną liczbę ludzi, którzy przychodzą po różnego rodzaju porady, czasem tylko na zwykłą pogawędkę albo by zanurzyć się w pogodnej atmosferze jej domu. Widać, że osoba ta umiała wypracować w sobie postawę przyciągającą innych jak magnes. W Poznaniu pochowano przed paroma miesiącami kobietę po trzydziestce, która pędziła życie na wózku inwalidzkim (do wszelkich czynności potrzebowała pomocy) i była otoczona całą plejadą ludzi, przeważnie młodych, którzy jej we wszystkim pomagali (mieszkała ostatnio sama), przesiadywali u niej, a czasem i nocowali. Na cmentarzu panował powszechny płacz — żal nad przedwcześnie zgasłym życiem i nad stratą bliskiego, potrzebnego człowieka.

Wydaje się czasem, że ludzie ułomni i nieszczęśliwi (może tylko z naszego, niewłaściwego, punktu widzenia?) odgrywają z woli Bożej specjalną, podwójną rolę: są potrzebni, gdyż potrafią udzielać rad, cierpliwie wysłuchać drugiego człowieka i współczuć mu w jego kłopotach, i są potrzebni, abyśmy my, ludzie zdrowi, mogli im służyć, a także dziękować Stwórcy za własne siły i zdrowie.

Co można robić, kiedy się już przeszło na emeryturę, porzuciło pewnego dnia może bardzo lubianą pracę i grono ludzi, z którymi pracowało się przez wiele lat? Napisano o tym sporo, więc nie chciałabym się powtarzać, pragnę tylko poruszyć parę spraw.

Na ogół nie lubimy i źle znosimy gwałtowne zmiany. Większość ludzi posiada swój ustalony rytm dnia, przyzwyczajamy się do różnych czynności o tej właśnie a nie innej porze i dlatego nagła zmiana może spowodować zachwianie się wewnętrznej równowagi. Nie jest to naturalnie regułą. Myślę, że po kilku tygodniach odespania zaległości (co za radość nie zrywać się na odgłos budzika!) można by wrócić w przybliżeniu do tej pory wstawania, do której przywykliśmy w ciągu całego życia. Bardzo martwi mnie stwierdzenie niektórych osób już nie pracujących, że śpią jak najdłużej, bo nie wiedzą, co robić z nazbyt długim dniem.

Dobrze jest wyjść z samego rana (o ile naturalnie możemy sobie na to pozwolić) lecz nie po jakieś zakupy, tylko na krótką przechadzkę, tak trochę bez celu. Nie ulegamy wtedy wielkiemu pośpiechowi (może nie zdążę? nie załatwię? ucieknie mi kolejka!), myśl nasza wolna jest od troski i taka przechadzka może być bardzo pożyteczna. Wracamy odświeżeni i napompowani tlenem, a wtedy cały dzień i wszystko, co mamy do zrobienia, wyda się łatwiejsze. Zdaję sobie sprawę, że wiele osób uśmiechnie się z politowaniem czytając powyższe słowa — taka rada wyda się im bardzo naiwna i nieżyciowa w naszych czasach, ale jednak 10—15 minut rano lub wieczorem to nie jest dużo, a spacer dla samego spaceru jest bardzo zalecany przez lekarzy i psychologów.

Jeśli przy licznych zajęciach (a wcale nie jest ich mało, choć nie chodzimy do pracy) zostają jeszcze luki czasu w ciągu dnia, które pragniemy zapełnić, to musimy się zastanowić, co specjalnie lubimy lub za czym tęskniliśmy wtedy, gdy mieliśmy czas wyliczony do ostatniej minuty: może to były jakieś ciekawe książki, których lekturę odkładaliśmy na później, może uporządkowanie fotografii, tysiące małych a dla nas ważnych spraw wymagających działania.

Jeśli jesteśmy uwięzieni w domu i mało — lub wcale — nie wychodzimy, pozostaje nam czytanie, robótki i pisanie. Istnieje sporo ludzi o darze łatwego wysławiania się. Najczęściej dużo przeżyli i w związku z tym mają coś do powiedzenia. Wyławianie ciekawych wspomnień, utrwalanie własnej przeszłości może przynieść sporo radości i to nieuchwytne wrażenie, że nasze istnienie miało cel i że coś po nas zostanie. I jeszcze jedno... W naszej ewangelickiej diasporze jest ogromne zapotrzebowanie na korespondowanie z osobami, które rzadko lub wcale nie mogą zjawiać się na nabożeństwach. Także i radio w audycji poniedziałkowej (program II, godz. 10.40) „Sprawy rodzinne" poszukuje osób, które chciałyby korespondować z ludźmi samotnymi. Jeśli zaczniemy korespondować, to może i sami otrzymamy pocztę, co dla każdego emeryta jest wielką przyjemnością. Co jeszcze można by robić? Może warto się uczyć jakiegoś języka, co zawsze jest pożyteczne i dla umysłu i dla fantazjowania — gdzie byśmy to jeszcze mogli pojechać!

W pewnym okresie życia dochodzimy do wniosku, że nie ma na świecie ważniejszej sprawy od walki z cierpieniem i od przynoszenia radości. Dobre słowo i uśmiech potrafią tak dużo zdziałać wtedy, gdy nie stać już nas na czyny. Tylu ludzi — chorych, osamotnionych i bezradnych — czeka na nasz uśmiech. Dlatego też, wracając do pojęcia „biernej aktywności", o której mówiłam na początku, starajmy się wypracować w sobie te cechy, które promieniują na otoczenie, a dzięki nim nasze pragnienie, żeby czuć się potrzebnym, zostanie zaspokojone.

Jeśli zostaliśmy stworzeni z woli Boga, to musimy jakoś wytrwać do końca. Musimy zachować wiarę w sens własnego życia i ufność. Jesteśmy potrzebni — jeśli już nie ludziom, to Panu Bogu, skoro nas do życia powołał. Miał w tym jakiś swój cel. Bez poczucia celowości istnienia wszystko wydaje się absurdem.

ROZMOWY PRZY STUDNI

„Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co Duch mówi do Kościołów".

Dz. 3 : 13

Br. André, znany już Czytelnikom z poprzedniej „Rozmowy przy studni" jako jeden z pierwszych braci Wspólnoty Jerozolimskiej, jest docentem filozofii, członkiem Narodowego Centrum Badań Naukowych CNRS*. Brat Michel-Marie, były biskup Oceanii, uczestnik II Soboru Watykańskiego, jest jednym z nielicznych duchownych w tej wspólnocie.

S. KINGA — Czy można by prosić jeszcze o parę słów dotyczących genezy i charakteru Wspólnoty Jerozolimskiej?

Br. MICHEL-MARIE — Kilkudziesięcioosobowa grupa, którą tworzymy obecnie, jest skrajnie zróżnicowana. Jest wśród nas dwóch względnie młodych księży, dwóch zakonników, którzy otrzymali pewną formację w zgromadzeniach czynnych, jeden były benedyktyn i ja, który mam za sobą 40 lat doświadczenia w dziedzinie religijnego życia. Z drugiej strony natomiast są bracia, którzy „odkryli Chrystusa" zaledwie dwa lub trzy lata temu. Pod tym względem różnimy się więc ogromnie. Wszystkich nas łączy jednak, jeśli tak można powiedzieć, poszukiwanie Absolutu. Wszyscy chcemy całkowicie oddać się Panu i Jego Królestwu prowadząc życie ewangeliczne. Tak więc, choć

* Centre Nationale de la Recherche Scientifique — odpowiednik PAN-u, Polskiej Akademii Nauk.

każdy z nas idzie własnym krokiem, ciągle podlegamy wspólnej formacji, bo nie ma u nas jeszcze osobno zorganizowanego nowicjatu.

S. K. — A wasz założyciel?

Br. M. M. — Jest nim obecny przełożony, Pierre-Marie Delfieux. Mówił mi kiedyś, że od dzieciństwa pragnął całkowicie oddać się Bogu, nie myślał jednak o żadnym zakonie. Może dlatego, że nie widział takiego modelu, który by go w pełni zadowalał. Wstąpił więc do seminarium, mówiąc sobie, że jest to już jakaś forma oddania się Bogu. Kiedy został wyświęcony na księdza, biskup wysłał go na dalsze studia do Paryża, aby zrobił tam licencjat z teologii. Potem poproszono go o udział w pracach grupy akademickich duszpasterzy Sorbony. Przez 6 lat był więc kapelanem studentów, bardzo czynnym i utalentowanym. W 1972 doszedł jednak do wniosku, że musi tę pracę przekazać komuś innemu, przynaglała go bowiem wewnętrzna potrzeba samotności, refleksji i, jak się to dziś mówi, powrotu do źródeł. Otrzymał od biskupa tzw. rok szabatowy i cały ten czas, a nawet więcej, bo 18 miesięcy spędził w Afryce, na Saharze, na pustelni w Tamanrasset. Tam właśnie zdał sobie sprawę, że cała jego dotychczasowa działalność duszpasterska była jak gdyby bezowocna, bo nie miała dostatecznych korzeni w modlitwie. Życie księży diecezjalnych, pochłoniętych swoją pracą, nie stwarzało sprzyjających okoliczności dla modlitwy — ani wspólnotowej, ani indywidualnej. W Tamanrasset skonstatował więc na nowe dwie rzeczy równocześnie: że odżyło w nim dawne pragnienie całkowitego poświęcenia się Bogu oraz że klasyczne formy monastyczne, z klasztorami usytuowanymi na wsi, zamkniętymi na 4 spusty i odseparowanymi od świata, który się coraz bardziej urbanizuje, nie odpowiadają już współczesnym potrzebom. Sądził, że takim dawnym klasztorom brak dziś jakiejś spontanicznej twórczości, która stanowiłaby w zakonie element bardziej dynamicznego szukania Boga. Skoro więc nie istniała zadowalająca go forma, powiedział sobie, że trzeba ją stworzyć. Powrócił do Francji w lecie 1974 i przedstawił swoje myśli arcybiskupowi Paryża — kardynałowi Marty. A kardynał odpowiedział, że właśnie myśli o tym samym. Co więcej, szukał już nawet jakiegoś zakonu, który osiedliłby się w Paryżu i w swoich modlitwach zamykał wołania i potrzeby tego miasta. W żadnym z wielkich dawnych zakonów nie było jednak ochotników. Odmówili też, zdaje się, bracia z Taizé. Kiedy więc ów młody, bo liczący wówczas niecałe 40 lat, ksiądz opowiedział arcybiskupowi o tym, co nosi w sercu i co dojrzało w nim w czasie samotności na Saharze, kardynał Marty stwierdził, że trzeba zacząć działać. I to był właśnie początek naszej historii. Piere Delfieux miał wówczas jednego tylko towarzysza. Potem Bóg postawił na jego drodze następnych dwóch, potem trzech. Byli to bądź księża, bądź laicy, którzy szukali tego samego celu, stawiali sobie te same pytania i — nie wiedząc, czym się to wszystko skończy — zdawali się na Opatrzność Bożą.

Br. ANDRE — Ja poszedłem pewnego wieczoru na spotkanie grupy modlitewnej tzw. Nowej Pięćdziesiątnicy, do krypty kościoła św. Sulpicjusza. Było to 16 stycznia 1975. Zobaczyłem, że zbliża się do mnie jakiś młody człowiek i pyta, czy miejsce po mojej lewej stronie jest wolne. Powiedziałem, że tak. Usiadł i opowiedział mi właśnie o tym, co Michel-Marie przed chwilą streścił, mianowicie że wraz z paroma braćmi myśli o rozpoczęciu w Paryżu kontemplacyjnego życia wspólnotowego. W dużej mierze odpowiadało to moim własnym poszukiwaniom, choć nie miałem żadnej sprecyzowanej myśli. Mieszkałem wówczas w seminarium karmelitów, gdzie przedtem przez jakiś czas wykładałem filozofię. Nie byłem już wykładowcą, nie byłem też seminarzystą. Po prostu bywałem u nich często i zwierzyłem się z tej nowej myśli przełożonemu seminarium. Jestem z zawodu naukowcem i od dawna nurtuje mnie problem stosunku wiary i wiedzy. Dwa lata przedtem sam myślałem, że należałoby założyć jakiś zakon, który poświęciłby się łączeniu świata kultury i świata nauki (zwłaszcza nauk ścisłych) z życiem wiary. Nie miałem jednak żadnego konkretnego pomysłu. Byłem do dyspozycji, choć od 1959 należałem już do CNRS.

Br. M. M. — Dorzucę dla wyjaśnienia, że André jest docentem filozofii.

Br. A. — Wówczas nastąpił dla mnie punkt zwrotny. Nie byłem w stanie przewidzieć, czy mógłbym dalej pracować w swoim zawodzie, gdybym rozpoczął życie zakonne, tzn. życie w posłuszeństwie, gdzie wszystko powierza się Panu przez pośrednictwo przełożonego. Przez jakiś czas sądziłem, że będę musiał porzucić pracę badawczą, której poświęciłem już spory kawał życia. W każdym razie byłem gotów to uczynić.

S. K. — Ale ostatecznie nie okazało się to konieczne?

Br. A. — Nie. Kontynuuję swoje badania. Co więcej — życie wspólnotowe, bezustannie zasilane Biblią i patrystyką, czyni moje badania owocniejszymi.

S. K. — Nad jakim problemem pracuje Brat obecnie?

Br A. — Można by to ująć w pytaniu: co musimy zrobić dzisiaj, aby historia znalazła swój pełny sens, historia ludzka w ogóle, ale w latach, które nam zostały dane do przeżycia. Ten problem nie jest jednak osią życia naszej wspólnoty ani celem jej poszukiwań. To jest coś mojego, osobistego.

S. K. — Czy można by to nazwać filozofią historii? Czy może raczej teologią historii?

Br. A. — Na upartego, tak, choć żaden z tych terminów nie jest w pełni adekwatny. W każdym razie jest to moja osobista refleksja, którą chcę utorować ścieżkę, przetrzeć szlak dla refleksji zbiorowej, która dziś jest niezbędnie potrzebna dla ukierunkowania historii. Jest to przecież zagadnienie życia lub śmierci ludzkości.

Br. M. M. — Usłyszała więc Siostra świadectwo jednego z pierwszych towarzyszy Pierra Delfieux. Potem przyszli następni. Ja przyszedłem po ośmiu miesiącach, nie należę więc do grupy założycieli. Arcybiskup Paryża patronował nam od początku, mieliśmy więc porękę Kościoła, ale poza tym wszystko było do zrobienia i wszystko można było zrobić, bo nie byliśmy niczyją „gałęzią". Ale Pan chciał, że

w grupie założycieli znalazł się autentyczny zakonnik, benedyktyn z Taurnay, który miał za sobą 27 lat życia zakonnego, a w swoim opactwie pracował na różnych stanowiskach, między innymi był także magistrem nowicjatu. Z racji studiów przebywał wówczas w Paryżu. On też szukał takiej formy życia zakonnego, która umożliwiłaby więcej kontaktów z ludźmi. Od swego opata otrzymał pozwolenie na 2-letnią eksklaustrację, zanim definitywnie przeszedł do nas. Ale nikt z nas nie miał wówczas ślubów w ścisłym tego słowa znaczeniu. Grupa formowała się szukając braterskiego życia, pracy i modlitwy w samym centrum Paryża. Nie istniała też żadna reguła. Było tylko kilka stron, naszkicowanego przez założyciela, projektu, wskazującego najogólniejsze linie. Staraliśmy się być kontemplatykami przeżywającymi wielkie wartości monastyczne: liturgię, modlitwę osobistą, czytanie duchowe, pracę, gościnność, zwolna szukając sposobów realizacji praktycznej. Samo życie prowadzi nas i uczy, co mamy robić, co przyjąć, co odrzucić. W każdym razie jest naszą zasadą, że wspólnota żyje z płatnej pracy swoich członków zaangażowanych na zewnątrz klasztoru, jak to ma miejsce w przypadku większości mieszkańców miasta. O ile to możliwe, bracia pracują w swoich zawodach, bo na ogół przychodzą po ukończonych studiach, i — w miarę możliwości — na pół etatu. Drugie pół dnia trzeba zarezerwować na zajęcia monastyczne. Inną zasadą jest, aby wspólnota nie miała własności, tzn. abyśmy mieszkali w lokalu wynajętym. I rzeczywiście, diecezja wynajęła nam lokal, dawną rezydencję biskupią, tuż obok kościoła, co ułatwiło nam codzienne, a nawet trzykrotne w ciągu dnia śpiewanie oficjum. Założyciel miał też na myśli wielką elastyczność — jeśli chodzi o śluby. Chciał, aby definitywny wybór odbywał się w kilku etapach. Gdyby więc w życiu jakiegoś zakonnika pojawiła się decyzja opuszczenia wspólnoty — decyzja podjęta z całą lojalnością wobec Boga, wobec własnego sumienia i wobec braci — aby mógł ją wykonać bez większych trudności, bez skomplikowanych formalności zwolnienia ze ślubów. Muszę jednak Siostrze wyznać, że przeszliśmy pod tym względem pewną ewolucję. Upraszczając można by powiedzieć, że zbliżamy się do tego, aby swe zobowiązania traktować bardzo serio, mimo trudności, których nam nie brak, a których nie przeżywają zakonnicy żyjący poza miastem i pracujący w klasztorach.

S. K. — Czy obecnie wasza wspólnota posiada już jakąś regułę, czy też każdy z osobna ustawia swoje sprawy z przełożonym w sposób całkowicie indywidualny?

Br. M. M. — Pod koniec drugiego roku, na kapitule, wprowadziliśmy szereg zmian, co w konsekwencji pozwoliło na zredagowanie obszernego tekstu. Pisał go osobiście założyciel, uwzględniając wszystko, cośmy wspólnie wypracowali. Nie jest to reguła w ścisłym znaczeniu, ale pewien rodzaj refleksji o naszym życiu zakonnym, owoc naszej wspólnej myśli.

S. K. — Chyba jednak nawiązujecie w tym do jakiegoś istniejącego już życia zakonnego. Nie zaczynaliście przecież absolutnie od zera...

Br. M. M. — Oczywiście. Inspirujemy się zwłaszcza regułą św. Benedykta. Ale nie tylko. Bierzemy także pod uwagę regułę św. Bazylego. Zapomniałem dodać, że od początku arcybiskup Marty życzył sobie, abyśmy pozostawali pod kontrolą jakiegoś opactwa i opata. Odpowiedzialnym jest za nas opat St-Benoit-sur-Loire. Wizytuje nas, rozmawia z nami. Ale spełnia swoją funkcję bardzo dyskretnie, obserwując naszą ewolucję i szanując naszą oryginalność.

S. K. — Teraz jesteście już zaakceptowani przez paryżan. Wielu z nich — ja także, choć nie jestem paryżanką — nie mogłoby sobie już wyobrazić dzisiejszego Paryża bez Wspólnoty Jerozolimskiej.

Br. M. M. — No, może nie aż tak, ale faktem jest, że bardzo szybko zgodzono się, że to czego szukamy, odpowiada potrzebom naszego miasta. Jeśli ludzie tu przychodzili i coraz liczniej przychodzą, to dlatego, że pragną modlitwy i trochę bardziej uroczystej liturgii. Bo po II Soborze Watykańskim we Francji nastąpił pewien rodzaj desakralizacji kultu i jakaś przesada w porzucaniu wszelkiego symbolu. Doszło do wysuszenia, do wyników wręcz fatalnych. Prawdą jest, że w naszej liturgii, która jest równocześnie pozbawiona elementów zbędnych, ale równocześnie bardziej uroczysta, ludzie odnajdują siebie i czują się szczęśliwi. Pod względem modlitwy nasza wspólnota ukonstytuowała się zresztą według modelu monastycznego, tzn. podstawą jest modlitwa liturgiczna. Od początku staraliśmy się o to, by zawsze była starannie przygotowana, a także, by uwzględniała wszystkie symbole: dzwony, ikony, świece, kwiaty, kadzidło, by była bardzo ludzka i bardzo boska zarazem. Jak Siostrze wiadomo, zapożyczyliśmy potem melodie i teksty bizantyńskie z Chevetogne. Dbamy o poziom wykonywania śpiewu, co nie zawsze się nam udaje, choć nie chcemy być zespołem koncertującym, ale pragniemy zachować prawdziwy klimat modlitwy. Wszyscy bracia, którzy tu przychodzą, mają „powołanie do liturgii", mają pewien smak modlitwy wspólnej. To oczywiste. A mówiąc o ludziach z zewnątrz trzeba także przyznać, że przychodzą nie tylko wierzący, ale i niewierzący. Lubią tę formę modlitwy. Coś im ona mówi. Nie wszyscy się nam zwierzają, ale bardzo wielu. Jesteśmy więc świadomi, że pomagamy ludziom modlić się w sposób piękny, godny, uwzględniający dostatecznie długie chwile milczenia, aby wewnętrznie przeżyć to, co się śpiewa lub mówi. Oczywiście, mamy też modlitwę osobistą, odbywaną wspólnie dwa razy dziennie. Ponadto, jeśli ktoś pragnie, może modlić się gdzie i kiedy chce. To już zależy od każdego z nas. Niektórzy bracia poświęcają na modlitwę cały czas wolny. Także lektura Biblii jest pewnego rodzaju modlitwą, kiedy wchodzimy w kontakt ze Słowem Bożym gotowi przyjąć to, co mówi Pan. U niektórych oddziałuje to bardziej na intelekt, ale dla innych jest rodzajem rozmowy z Bogiem.

Br. A. — Raz na tydzień, w piątki po wieczornym posiłku, spotykamy się na modlitwie spontanicznej, związanej z ruchem „Nowej Pięćdziesiątnicy". Wspomniałem, że od niej wszystko się zaczęło. Postanowiliśmy potem kontynuować ją u nas na zasadzie dobrowolności. Nie wszyscy bracia w niej uczestniczą,

Dokończenie na s. 17

Odezwa Polskiej Rady Ekumenicznej

W grudniu ubiegłego roku zarząd Polskiej Rady Ekumenicznej skierował odezwę pod adresem społeczeństwa, w szczególności do chrześcijan, którzy należą do Kościołów tworzących PRE. Tekst odezwy, w prasie codziennej opublikowany tylko w niewielkim fragmencie, drukujemy bez żadnych skrótów.

Redakcja

„A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami"
Jan 1 : 14

Nadchodzące święta Bożego Narodzenia skłaniają nas, przedstawicieli Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej, do skierowania słów otuchy i nadziei pod adresem społeczeństwa, a w szczególności wiernych z Kościołów zjednoczonych wspólnotą ekumeniczną. Ewangelia na Dzień Narodzenia naszego Pana — Jezusa Chrystusa, przynosi zdania znane nam wszystkim tak dobrze, a przecież zawsze żywe, zawsze ważne i obowiązujące. Są to słowa: „Zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem wszystkich ludzi, że się wam narodził Zbawiciel" (Łuk. 2:10) i: „Chwała na wysokościach Bogu, na ziemi pokój ludziom, w których ma upodobanie" (Łuk. 2:14). Właśnie teraz paradoksalne zestawienie objawionej radości z codziennym smutkiem, zapowiedź pokoju z przeżywanym niepokojem, odsłaniają nam ich nową treść, potrzebną ludziom smutnym i zaniepokojonym. „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie" (Mat. 11:28).

Kierujemy do Was, Bracia i Siostry, to poselstwo radości i pokoju w chwili, gdy ujawnił się głęboki kryzys moralny, ekonomiczny, społeczny i polityczny, który jeszcze w pełni nie został przezwyciężony. Kierujemy to słowo również w okresie przemian w społeczeństwie, zapoczątkowanych dramatycznymi strajkami, przemian prowadzących do odnowy życia moralnego, społecznego i gospodarczego. Niełatwa jest nasza codzienne egzystencja wobec istniejących trudności. Wszystkich Polaków niepokoi zagrażające Ojczyźnie niebezpieczeństwo oraz możliwość zakłócenia pokoju.

Swoją nadzieję pokładamy jednak nie tylko w postawie robotników, w dążeniach do odnowy i na wysiłkach mądrych ludzi dobrej woli, ale na Tym, który jest naszą drogą, prawdą i życiem — na Jezusie Chrystusie (Jan 14:6). On jest naszym najwyższym autorytetem, nauczycielem, przewodnikiem, naszym Zbawcą i Dawcą nowego życia. On życiu ludzkiemu nadaje godność, wyzwala od zła, prowadzi ku dobremu. Kto całkowicie zawierzył Chrystusowi, nie dozna zawodu. Ku Niemu kierujemy myśli, gdy widzimy konieczność odrodzenia.

Prorocy Starego Przymierza wskazywali, że droga do odnowy życia społecznego i narodowego prowadzi przez odnowienie moralne. Wieszcz, Adam Mickiewicz, uczy: „O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze, o tyle powiększycie granice i polepszycie prawa wasze". W tym duchu pragniemy przypomnieć wszystkim, że początkiem i fundamentem trwałej odnowy życia narodu musi być odrodzenie moralne. Jeśli Ojczyzna jest nam droga, jeżeli wolność narodu jest naszą potrzebą, to dajmy temu wyraz swoją postawą w życiu codziennym, w pracy, w stosunkach międzyludzkich, w rozważnym, ale i odważnym podejmowaniu działań dla dobra narodu w duchu wzajemnej miłości i pojednania. „Jeśli ktoś jest w Chrystusie, nowym jest stworzeniem" (II Kor. 5:17). Świadomi tego, jak wielkie znaczenie ma modlitwa, wzywamy wszystkich Was, Bracia i Siostry, wzywamy Kościoły zrzeszone w Polskiej Radzie Ekumenicznej do nieustannych modlitw za kraj, za naród, za ludzi, którzy decydują o sprawach państwa i narodu.

Życząc w te Święta całemu narodowi radości i pokoju, czynimy to z ufnością, że miłość Jezusa Chrystusa będzie dla nas wszystkich źródłem nowego życia.

W obliczu Nowego Roku pozdrawiamy Was wszystkich hasłem biblijnym Polskiej Rady Ekumenicznej na rok 1981: „Pan da siłę ludowi swemu, Pan pobłogosławi lud swój pokojem!" (Psalm 29:11).

Zarząd PRE

ROZMOWY PRZY STUDNI

Dokończenie ze s. 16

ale dość duża grupa. Wierzę mocno, że nigdy nie wychodzimy z niej bez jakichś sugestii ze strony Pana dotyczących tego, czego od nas oczekuje. Ale nie jest to podstawa do podejmowania jakichkolwiek wytycznych czy decyzji, bo to należy do kapituły, przeora i jego rady. Ale przecież i wtedy, kiedy spotykamy się jako cała wspólnota, choć nie ma wówczas proroctw czy glosolalii, a nawet czytań biblijnych, chcemy słuchać Ducha Świętego. Możemy więc chyba z całą prawdą powiedzieć, że wszyscy bez wyjątku staramy się zachowywać zasadniczą postawę posłuszeństwa Duchowi Świętemu w Kościele.

Opr. Kinga Strzelecka osu.

Głos w dyskusji o ordynacji kobiet

Od dawna mam wyrobiony pogląd na sprawę ordynacji kobiet. Teraz chętnie się nim podzielę z Czytelnikami „Jednoty", sprowokowana listami zamieszczonymi w 9 numerze „Jednoty" z ub. roku.

Na wstępie stwierdzam, że jestem za udzieleniem kobietom pełnych praw duszpasterskich. Oczywiście uzasadnienie takiego stwierdzenia należy rozpocząć od wypowiedzenia się na temat niezgodności swego poglądu ze słowami zawartymi w Piśmie świętym, które stanowią na ogół podstawę do sądów akurat odwrotnych. Otóż polemika ze słowami mówiącymi o tym, że kobieta powinna milczeć w zborze, wydaje mi się tak samo zbyteczna, jak udowadnianie, że Pan Bóg w rzeczywistości potrzebował więcej niż 6 dni na stworzenie świata. Odbiegliśmy w czasie i przestrzeni tak daleko od okoliczności, w jakich powstawały teksty biblijne, że (oczywiście głoszę tu tylko swój prywatny pogląd) wierność Słowu winniśmy pojmować nie jako zgodność z literą, lecz jako zgodność celu. Skoro zadaniem Kościoła jest głoszenie Dobrej Nowiny, to stawiam pytanie, czy ordynacja kobiet jest krokiem naprzód w tym dziele, czy też nie?

To przecież jasne, że dobrze, świadomie, z odpowiednim przygotowaniem i oczywiście z powołaniem wykonywana praca duszpasterska, niezależnie od tego czy przez mężczyznę, czy przez kobietę, jest wykonywaniem przykazania. „Paś owce moje". Żniwo jest wielkie, a pracowników mało. Ci, którzy odmawiają kobietom prawa do pełnych prac duszpasterskich, biorą na swoje barki odpowiedzialność za zmniejszenie zastępu ludzi pracujących w winnicy Pańskiej.

Ujawniając swoje wewnętrzne, już wypowiedziane przekonanie, że Bogu miła jest praca kobiet w Jego Kościele, nie zapominam o tym, że pracując dla Niego, pracuje się wśród ludzi i z ich zdaniem należy liczyć się w sposób rozsądny. Chcąc ludziom służyć, nie można z nimi walczyć, ale trzeba i należy im pewne rzeczy tłumaczyć. Do tych rzeczy zaliczam właśnie sprawę ordynacji kobiet. A w celach perswazji pragnę przytoczyć kilka konkretnych przykładów. Konkretnych w sposób podwójny, bo dotyczących określonych sytuacji i zaobserwowanych w pracy.

Czym zajmuje się duchowny poza odprawianiem nabożeństw? Sprawy administracyjne, oczywiście, pomijam, bo czy będzie się tym zajmować kobieta ordynowana czy nie ordynowana — jeśli w ogóle nie Kolegium Kościelne — nie należy to do przedmiotu tej dyskusji. Do codziennych obowiązków duchownego należą rozmowy duszpasterskie, rozmowy w domu, w szpitalu, w parafii. A przeważająca liczba rozmów dotyczy spraw dzieci, młodzieży i ludzi starszych, spraw chrztów i pogrzebów. Rozmowy przedślubne i sprawy dotyczące ludzi w średnim wieku, stanowią stosunkowo niewielką część pracy duszpasterskiej. Praktyka wskazuje, że takie cechy kobiece, jak delikatność uczuć, owa miękkość, serdeczność, słowem — macierzyńskość połączona z cierpliwym wysłuchaniem cudzych bolączek czy to fizycznych, czy psychicznych, są cechami pozwalającymi człowiekowi przychodzącemu po pomoc duchową łatwiej otworzyć się przed kobietą niż przed mężczyzną. Starsi ludzie w swej nieporadności i schorowaniu, w swej chęci mówienia raz o zbliżającej się śmierci, raz o tylko pozornie nieważnych drobiazgach, łatwiej wypowiadają swoje rozterki przed kobietą niż przed mężczyzną. W końcu duszpasterz jest właśnie lekarzem, tyle że lekarzem dusz.

O katechizacji nawet mówić nie potrzeba. Zawód nauczycielski jest już dawno sfeminizowany, również w szkole niedzielnej. Zresztą nauczanie religii przez kobiety w ogóle nie wchodzi w zakres tej dyskusji.

Kobieta rozdająca Komunię. Kobieta czyniąca honory w Domu Pańskim, kobieta mówiąca łagodnym, przekonującym głosem, że odpuszczone są człowiekowi wszystkie jego grzechy, kobieta zapraszająca do Stołu.

„Czytelnik z Warszawy" pisze w numerze 9/80 „Jednoty": „Tyle pracy jest dla kobiet. Tyle błogosławionych służb". Do tych właśnie ja zaliczam służbę za Stołem Pańskim.

„Czytelnik z Warszawy" (nazwisko nieczytelne — mała rzecz, a wstyd z powodu tej nieczytelności) sprowokował mnie do wypowiedzi i za to jestem mu wdzięczna. Pisze on: „Moja żona, gdy się modliła (...) dostała odpowiedź..." Jeżeli chcę być szczera w mojej wypowiedzi, muszę w tym miejscu stwierdzić, że takie sformułowanie mnie zbulwersowało. Człowiek modli się i prosi Boga o wskazanie właściwej drogi. Odpowiedź Boga przychodzi w postaci jasności myśli, we właściwym, wielostronnym spojrzeniu na sprawę, w umiejętności usunięcia w cień własnych dążeń, a uwypuklenia ogólnych, przychodzi pod postacią wewnętrznej walki, wahań i w końcu wyboru. Gdzież wolna wola, jeżeli Bóg odpowiada w sposób tak szczegółowy: „Służ jak Anna, w postach i modlitwach. Ile błogosławieństwa z tego płynie!" Proszę wybaczyć, a z czego Państwo żyją, kto w domu gotuje? A gdyby Pana żona otrzymała odpowiedź, która ograniczałaby bardzo Pańską pozycję w domu, czy równie chętnie podawałby Pan to innym do wiadomości?

Pisze Pan, że powinniśmy „strzec w naszych zborach czystości Słowa". Oczywiście, tylko że jednocześnie nie zapominajmy o pracy. Bóg czeka czynu, również od kobiet, a nie tylko kultu dla swojego Słowa.

„Czytelnik z Warszawy" pisze dalej: „Nasze kobiety powinny służyć Bogu w bojaźni". Wydaje mi się, że nie tylko kobiety, ale wszyscy ludzie powinni służyć Bogu w bojaźni. W tym zdaniu kryje się na dnie brak pokory. Z tego zdania wionie starotestamentowe Prawo, a nie ewangeliczna Miłość.

Powiedziano: „Wszyscy, którzy zostaliście w Chrystusa ochrzczeni, przyoblekliście się w Chrystusa. Nie ma Żyda, ani Greka, nie ma

niewolnika ani wolnego, nie ma mężczyzny ani kobiety, albowiem wy wszyscy jedno jesteście w Jezusie Chrystusie" (Gal. 3:27—28). Świat walczy o sprawiedliwość, chrześcijański świat walczy o sprawiedliwość. Czy uważa Pan, że odmawianie kobiecie prawa do ordynacji może współistnieć z deklaracjami o sprawiedliwości? Tak właśnie, może współistnieć z deklaracjami, ale nie może współistnieć z prawdziwą sprawiedliwością, którą jest równość przed Bogiem. Większość mężczyzn jest za pełną emancypacją kobiet. Jednak pod warunkiem, że wyłączona z tego będzie jego własna żona. Czy nie ma w tym czegoś z faryzeizmu?

Czy wszystkie kraje, czy wszystkie Kościoły ewangelickie, w których kobiety od kilku już czasem dziesięcioleci wykonują pracę duszpasterską, nie potrafią właściwie czytać Ewangelii? Pan, z którym polemizuję, już w następnym akapicie pisze: „Chciałbym spotkać się z kobietą kaznodzieją (...) zobaczyć jej dom, jej dzieci, jej męża..." Nie umiem sobie wyobrazić, co przeżywa człowiek, który bierze udział w nabożeństwie prowadzonym przez kobietę-pastora, będąc przeciwny jej ordynacji. W każdym razie serdecznie mu współczuję, bo zapewne rozterka przeszkadza mu w modlitwie.

A może nie rozterka, tylko zwykła ciekawość?

Jednak szczerość tej wypowiedzi Autora dowodzi niecałkowitej hermetyczności jego stanowiska i to napawa nadzieją. Przypuszczam, że będzie miał okazję zetknąć się z takimi kobietami i usłyszeć, że z powołania rozpoczęły służbę. Może trudniej będzie z nimi rozmawiać o domu, mężu i dzieciach, bo wiele z nich żyje samotnie.

Rozmawiałam z kobietą-księdzem, która w czasie odprawiania nabożeństwa popełniła poważny błąd w liturgii. Pytałam, czy nie będzie z tego powodu miała nieprzyjemności od członków Kolegium Kościelnego. Zdziwiła się. Powiedziała, że wszyscy ludzie się mylą, a Kolegium Kościelne to ciało, które pomaga jej w pracy, bez niego w ogóle nie wyobraża sobie, jak mogłaby podołać tak ciężkim obowiązkom. Najważniejsze — to czuć się akceptowanym i otoczonym życzliwością. Pytałam też, czy dla psychiki kobiecej pogrzeby nie są zbyt wyczerpujące. Zaprzeczyła. To tylko inna forma służby. Podejrzewałam ją trochę, że popadła w rutynę. Następnej niedzieli słyszałam ją, jak pocieszała świeżo osieroconą rodzinę. To nie były kondolencje. To były ciepłe, matczyne słowa.

Obiadu w niedzielę nie gotuje, prawie zawsze ktoś ją zaprasza, kogoś odwiedza.

Przymusowy celibat duchownych katolickich jest dla mnie zacofaniem, ale przecież duchownym ewangelickim nikt nie każe się żenić, a ze świecą by szukać kawalera... Kobiety-pastorzy częściej nie zakładają domu i to jest najlepszy dowód ich powołania.

Czy to się komu podoba, czy nie, bardzo wiele kobiet pracuje zawodowo. (Czy duchowny jest w stanie ze swej pensji utrzymać rodzinę?) Przy przenoszeniu duchownego na inną placówkę powstaje problem, czy żona otrzyma tam posadę. A czy mąż pani pastor otrzyma? Pan Bóg stawia ludzi przed bardzo trudnymi problemami. Małżeństwa teologów są jedną z form rozwiązań.

„Nie przypominam sobie, w jakich okolicznościach Pan Jezus zalecał apostołom ordynację kobiet" — pisze na tej samej stronie „Jednoty" pan Włodzimierz Nowicki z Łodzi. W tym miejscu rumienię się za pana Nowickiego z powodu takiej formy polemiki.

Nie przypominam sobie ja z kolei, w jakich okolicznościach została zalecona ordynacja mężczyzn. Poza tym, pan Nowicki dobrze wie, że Pan Jezus wprawdzie nigdzie nie zalecał ordynacji kobiet, ale i nie zalecał tysiąca innych rzeczy, które czynią prawdziwi chrześcijanie. Prawo Wewnętrzne Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL nie zabrania ordynacji kobiet. Prawo to natomiast mówi, że ordynowany może być ten, kto ukończył odpowiednie studia. Prawo należy szanować. Wynika stąd, iż kobieta-pastor takie studia musi ukończyć i poza spełnieniem wszystkich innych warunków, m. in. kwalifikacji moralnych, musi być teologiem z tytułem akademickim. Mając więc pełną gwarancję rzetelnej wiedzy fachowej duchownego-kobiety, można się spodziewać, iż zza Stołu Pańskiego i z kazalnicy usłyszymy słowa prostsze, w mniejszym stopniu przeplatane teoriami teologicznymi i wywodami filozoficznymi, które to wywody, chociaż słuszne, prawdziwe i piękne, służą bardziej intelektualnym potrzebom człowieka niż pocieszaniu i budowaniu jego skołatanej duszy. Bo człowiek współczesny, rzucony w świat na każdym kroku zaprzeczający dekalogowi i miłości do bliźniego, mniej, stokroć mniej potrzebuje pięknych, wzniosłych, teoretycznych kazań niż rzeczywistej oceny dnia dzisiejszego, słów nadziei, wzywania do czynu, posłania miłości.

A tego właśnie na ogół można oczekiwać od kobiet. Życie, aby nie nadużyć słów zbyt wielkich, samo reguluje pewne sprawy. Nauczycielkami są najczęściej kobiety. Górnikami i marynarzami — mężczyźni. Tu i tu są wyjątki. Jeżeli kobieta zostanie superintendentem czy profesorem teologii, to widocznie tak ma być (i już są takie przypadki). W przeważającej większości kobiety są jednak proboszczami lub wikariuszkami, pracującymi bezpośrednio wśród ludzi, bo do tego są najbardziej predysponowane. I tak jest dobrze. Oczywiście moim zdaniem. No, bo po to piszę, żeby swoje zdanie wypowiedzieć.

Dla jasności sytuacji pragnę jeszcze dodać, że nie należę do kobiet, których niespełnionym marzeniem życia jest ordynacja. Owszem, po maturze ks. Roman Mazierski, duchowny Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, namawiał mnie na studia teologiczne i wyrażał nadzieję, że po ich ukończeniu Synod zgodzi się na moją ordynację. Ja inaczej ułożyłam sobie życie, po prostu nie czułam powołania do studiów teologicznych.

Wreszcie na zakończenie pragnę wypowiedzieć swój pogląd, że w przyszłości rola kobiety w Kościele będzie coraz większa, bardzo duża. Mam co do tego wielką nadzieję, że kobieta w rozsądny sposób ograniczy swoją pracę zawodową, powróci do roli matki i żony. Powróci do niej nie tylko w swoim domu rodzinnym. W szczególnych przypadkach zajmie się również Domem Bożym, w którym będzie gromadzić, karmić i leczyć swą większą rodzinę — parafię.

Aleksandra Sękowska
Warszawa

Z ZAGRANICY

● W Budapeszcie rozbudowuje się Wydział Teologii Reformowanej. Władze miejskie przydzieliły odpowiednią parcelę i udzieliły pomocy finansowej. Pomoc obiecały również Kościoły ewangelickie w RFN i Szwajcarii.

● Nowym kierownikiem Centrali Ekumenicznej we Frankfurcie n. Menem został po raz pierwszy rzymski katolik — ks. dr Laurentius Klein, opat klasztoru benedyktynów w Trewirze. Do zadań Centrali należy m. in. organizowanie współpracy na szczeblu regionalnym, otaczanie opieką prac studyjnych oraz przygotowywanie Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan. Centralą Ekumeniczną kierował dotąd znany ekumenista ewangelicki, dr Hanfried Krüger, który przeszedł na emeryturę.

● W Chinach powstaje ewangelicki Kościół narodowy. Opinię tę wyraził ekspert Światowej Federacji Luterańskiej do spraw chińskich — Arne Sovik, który ostatnio odwiedził ChRL. Jego zdaniem w Chinach zanikły podziały międzywyznaniowe i zdecydowana większość protestantów opowiada się za stworzeniem jednego Kościoła ewangelickiego.

● Najprawdopodobniej w czerwcu tego roku papież Jan Paweł II złoży wizytę Światowej Radzie Kościołów w Genewie. Wiadomość ta pochodzi z dobrze poinformowanych kół zbliżonych do Konferencji Biskupów Katolickich w Szwajcarii. Jeszcze kilka miesięcy temu rzecznik ŚRK zdementował pogłoski o wizycie papieża w Genewie.

● Rozmowy na temat teologii małżeństwa i problemu małżeństw mieszanych, prowadzone od kilku lat między Światową Federacją Luterańską i Światowym Aliansem Kościołów Reformowanych z jednej strony a watykańskim Sekretariatem ds. Jedności — z drugiej, zostały — z inicjatywy strony katolickiej — zawieszone. Decyzja ta wywołała rozczarowanie w środowiskach ekumenicznych.

● Wydział Studiów Światowej Federacji Luterańskiej ogłosił dokument pn. „Urząd kapłański wszystkich ochrzczonych", w którym porusza się sprawę współuczestnictwa w kulcie, urzędu duchownego w szybko zmieniającej się sytuacji kulturowej oraz rolę kobiet w życiu Kościoła.

● Papież Jan Paweł II podczas listopadowej wizyty w RFN (1980) spotkał się z Radą Kościoła Ewangelickiego. W wyniku przeprowadzonej rozmowy postanowiono, że utworzona zostanie komisja ekumeniczna, w skład której wejdą nie tylko przedstawiciele Kościoła katolickiego i ewangelickiego na terenie RFN, ale także Watykanu. Zadaniem komisji będzie debata nad problemami utrudniającymi zbliżenie katolików i ewangelików w Niemczech Zachodnich. Zdaniem Gottfrieda Marona, profesora teologii ewangelickiej w Kilonii, komisja powinna zacząć pracę od problemu małżeństw mieszanych.

● Z okazji 10 rocznicy podpisania Układu o podstawach normalizacji stosunków między PRL a RFN, z inicjatywy Rady Kościoła Ewangelickiego w RFN i Polskiej Rady Ekumenicznej, w dniach od 21 do 23 listopada 1980 odbyło się w Akademii Ewangelickiej w Loccum k. Hanoweru sympozjum polsko-zachodnioniemieckie, na którym oceniono rozwój stosunków między dwoma państwami w minionym dziesięcioleciu. Była to największa impreza, jaka z tej okazji odbyła się na terenie RFN. W sympozjum uczestniczyli m.in.: przewodniczący partii SPD Willy Brandt i przewodniczący Rady Kościoła Ewangelickiego — bp Eduard Lohse, prezes PRE — ks. prof. dr Witold Benedyktowicz, rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej — ks. prof. dr Woldemar Gastpary, kierownik Wydziału Kontaktów Zagranicznych PRE — Andrzej Wójtowicz oraz dziennikarze, posłowie na Sejm PRL — Mieczysław F. Rakowski i Ryszard Wojna.

● Yap Kim Hao, sekretarz generalny Chrześcijańskiej Rady Kościołów w Azji, odwiedził przywódców chrześcijańskich w Chińskiej Republice Ludowej. Po powrocie oświadczył, że mógł nieskrępowanie podróżować oraz swobodnie i otwarcie dyskutować.

● Od 24 do 26 listopada 1980 w Akademii Ewangelickiej w Tutzing (RFN) odbyło się doroczne spotkanie Ekumenicznej Grupy Roboczej ds. Informacji w Europie. Konferencja zgromadziła przeszło 40 dziennikarzy ewangelickich, prawosławnych i katolickich z 9 krajów Europy. Polskę reprezentowali: Andrzej Wójtowicz i Karol Karski (PRE) oraz Rudolf Buchała (miesięcznik „Chrześcijanin w świecie"). Dyskutowano nad stosunkiem Kościołów do nowych środków masowego przekazu (telewizja kablowa i satelitarna) oraz nad rolą tych środków w utrwalaniu pokoju.

● „Problemy i zadania odprężenia w dziesięć lat po układach z Moskwą i Warszawą" — tak brzmiał temat seminarium zorganizowanego przez Akcję Znak Pokuty i Akademię Ewangelicką w Berlinie Zachodnim w dniach 28—30 listopada 1980. Wśród Polaków — przedstawicieli życia politycznego i dziennikarzy — obecny był Andrzej Wójtowicz, przedstawiciel Polskiej Rady Ekumenicznej.

● Związek Młodzieży Ewangelickiej w RFN zorganizował od 5 do 7 grudnia 1980 w Höchst seminarium poświęcone 10 rocznicy Układu o podstawach normalizacji między PRL a RFN. Do uczestnictwa zaproszono 6-osobową delegację działaczy PRE młodszego pokolenia oraz przedstawicieli Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej.

● Jak się dowiadujemy, w Niemieckiej Republice Demokratycznej, nakładem St. Benno-Verlag w Lipsku, ukazała się książka dobrze znanej czytelnikom „Jednoty" autorki — siostry Kingi Strzeleckiej, osu — która od lat przygotowuje materiały do cyklu „Rozmowy przy studni". Książka poświęcona jest ojcu Maksymilianowi Kolbe. Przekładu z polskiego dokonał Gerhard Wagner.

● 18 października ub. roku w Debreczynie na Węgrzech obradowała międzynarodowa konferencja na temat recepcji Kalwina w Europie środkowej i południowo-wschodniej. Referaty wygłosili wykładowcy z Niemiec, Austrii, Węgier, Rumunii i Czechosłowacji. O recepcji Kalwina w Polsce i o historii polskiej reformacji mówił pastor węgierski Aleksander Kis.

Z KRAJU

● W dniu 16 grudnia 1980, w dziesiątą rocznicę niezapomnianych wydarzeń na Wybrzeżu, odsłonięto w Gdańsku pomnik wzniesiony ku czci poległych stoczniowców. W uroczystościach, które przebiegały w nastroju podniosłym i wyjątkowej powagi, wzięły udział tysiące mieszkańców Wybrzeża i innych dzielnic Polski, rodziny zabitych robotników, delegacja Rządu z przewodniczącym Rady Państwa, prof. H. Jabłońskim, delegacja Episkopatu z ks. kard. F. Macharskim, ks. bp. Bronisławem Dąbrowskim i ks. bp. L. Kaczmarkiem, miejscowe władze PZPR z I sekretarzem KW T. Fiszbachem oraz przedstawiciele NSZZ „Solidarność" z L. Wałęsą.
Po wzniosłej uroczystości poprzedzającej sam akt odsłonięcia Pomnika i po złożeniu wieńców odbyła się msza celebrowana przez ks. kard. F. Macharskiego. W czasie mszy odczytano tekst telegramu od papieża Jana Pawła II oraz list od ks. prymasa kard. S. Wyszyńskiego. Kazanie wygłosił ks. bp. Kaczmarek. Podczas mszy nastąpiło poświęcenie Pomnika Poległych Stoczniowców oraz sztandaru NSZZ „Solidarność".
Na murze tworzącym fragment kompleksu Pomnika, pod trzema 42-metrowej wysokości krzyżami, na których ramionach zawisły kotwice, widnieją słowa Psalmu 29 (w przekładzie Czesława Miłosza): „Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo". A wzdłuż umieszczonej na murze tablicy biegnie napis: „Oddali życie, abyś ty mógł żyć godnie. Cześć Ich pamięci". Obok — słowa dedykowane przez Jana Pawła II: „Niech zstąpi Duch Twój i odmieni oblicze ziemi, tej ziemi".
W dzień później, 17 grudnia, w Gdyni odsłonięto obelisk i tablicę pamiątkową w pobliżu stoczni i położono kamień węgielny pod Pomnik Ofiar Grudnia 1970, a przed bramą główną stoczni w Szczecinie odsłonięto tablicę pamiątkową. Również i w tych miastach uroczystości miały charakter religijny.

● Teatr im. Juliusza Słowackiego wystawił w reżyserii Krystyny Skuszanki młodzieńczą sztukę Karola Wojtyły (napisaną w 1949) — „Brat naszego Boga" — o Adamie Chmielowskim, świetnie zapowiadającym się malarzu, który wybiera drogę Brata Alberta. Tematem sztuki jest przemiana i wybór dokonany przez człowieka, który rezygnuje z kariery i sławy, porzuca środowisko artystyczne, wdziewa habit mnisi i niesie pomoc najbiedniejszym. Dzięki dokonanemu wyborowi sam schodzi na dno nędzy a zarazem zyskuje ogromne bogactwo duchowne. Światowa prapremiera sztuki odbyła się w Krakowie, 13 grudnia 1980.

● Telewizja Polska zakupiła kilkuodcinkowy serial amerykański, którego bohaterem jest pastor Martin Luther King, zamordowany w 1968 przywódca Murzynów amerykańskich, zwolennik biernego oporu i prowadzenia walki bez stosowania przemocy i gwałtu. Pierwszy odcinek serialu emitowano we wtorek, 13 stycznia, w programie pierwszym, o godz. 20.10.

● W połowie stycznia br. przebywała w Rzymie delegacja NSZZ „Solidarność" z L. Wałęsą na czele. Celem wizyty były rozmowy z działaczami włoskich związków zawodowych oraz wizyta u papieża Jana Pawła II na specjalnie wyznaczonej audiencji. Delegacja udała się również na polski cmentarz na Monte Cassino.

● 14 XI 1980 odbyło się XIII posiedzenie Komisji Mieszanej Polskiej Rady Ekumenicznej i Komisji Episkopatu ds. Ekumenizmu. Z tej okazji nowy przewodniczący Komisji Episkopatu, bp Alfons Nossol, ordynariusz opolski, odwiedził prezesa PRE, ks. Witolda Benedyktowicza. Wysłuchano relacji z obrad Komitetu Naczelnego ŚRK i Synodu Biskupów oraz z działalności Podkomisji ds. Dialogu. Poczyniono też przygotowania do styczniowego Tygodnia Modlitwy o Jedność Chrześcijan. Postanowiono wydać zalecenie, aby dwa razy w roku odbywały się spotkania przedstawicieli diecezjalnych referatów ds. ekumenizmu i oddziałów regionalnych PRE, poświęcone przygotowaniu i ocenie Tygodnia Modlitwy. Omawiano też sprawę dostępu Kościołów do środków masowego przekazu. Ks. abp Henryk Gulbinowicz, odchodząc po przeszło 6-letniej pracy z Komisji Mieszanej, przedstawił swego następcę, bp Edwarda Ozorowskiego, nowego współprzewodniczącego Komisji, sufragana z Białegostoku.

Następne spotkanie Komisji Mieszanej ma się odbyć 29 IV 1981 w Kurii Metropolitalnej w Warszawie.

● 20 XI 1980 w siedzibie Polskiej Rady Ekumenicznej w Warszawie odbyło się kolejne posiedzenie Podkomisji ds. Dialogu Polskiej Rady Ekumenicznej i Komisji Episkopatu ds. Ekumenizmu. Podjęto prace nad przygotowaniem do druku dokumentu o chrzcie, opracowanego przez Komisję Wiara i Ustrój ŚRK oraz wspólnego stanowiska członków Podkomisji wobec tego dokumentu (oba teksty „Jednota" drukowała w nr 1/1980). Zakończono dyskusję nad projektem „Instrukcji Episkopatu Polski w sprawie duszpasterstwa małżeństw o niejednolitej przynależności kościelnej" i prezentowano stan prawny oraz praktykę stosowaną przez Kościoły członkowskie PRE względem małżeństw mieszanych. Debata na ten temat będzie kontynuowana.

● „Ekumeniczny kalendarz modlitw", opracowany z inicjatywy Światowej Rady Kościołów przy współudziale watykańskiego Sekretariatu do spraw Jedności Chrześcijan i światowych związków wyznaniowych, ukazał się w listopadzie 1980 w języku polskim. Kalendarz przetłumaczył i zaktualizował zastępca kierownika Wydziału Prasy i Kontaktów Zagranicznych PRE — dr Karol Karski. Jako konsultant służył sekretarz Komisji Episkopatu do spraw Ekumenizmu — ks. prof. Lucjan Balter. „Ekumeniczny kalendarz modlitw" ukazał się jako numer specjalny czasopisma „Materiały problemowe", wydawanego przez Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, którego redaktorem naczelnym jest Jan Paweł Henne. Trzy wymienione wyżej osoby tworzyły Komitet Redakcyjny. Nakład „Kalendarza" wynosi 5000 egzemplarzy, z czego 4500 będzie rozkolportowanych w Kościele katolickim, a 500 wśród członków Kościołów członkowskich PRE. Komitet Redakcyjny, publikując polską wersję „Kalendarza" wyraził nadzieję, że „zainteresują się nim parafie, grupy chrześcijan, a także pojedynczy wierni, i że znajdzie on trwałe miejsce w życiu modlitewnym wszystkich Kościołów w Polsce".

● W Akademii Teologii Katolickiej ks. prof. dr Alfons Skowronek prowadził w semestrze zimowym 1980/81 wykłady na temat nauki Jana Kalwina o Kościele. Jest to godne uwagi wydarzenie, gdyż wy-

kładowca bardzo obiektywnie przedstawił poglądy Reformatora i zwrócił uwagę na szereg czynników, które zostały wprowadzone w Kościele rzymskokatolickim przez II Sobór Watykański i wykazują daleko idącą zbieżność z poglądami Reformatora. Wykład, jakkolwiek krytyczny, ale pozbawiony elementów polemicznych, nacechowany jest głębokim szacunkiem dla Jana Kalwina.

● Porozumienia gdańskie zawierają stwierdzenie, że antena Polskiego Radia zostanie udostępniona Kościołom dla transmisji nabożeństw. Od 21 września ub.r. w każdą niedzielę transmitowana jest msza św. z kościoła Św. Krzyża w Warszawie. W sprawie transmisji nabożeństw innych kościołów, w tym i ewangelicko-reformowanego, toczą się rozmowy między Polską Radą Ekumeniczną a władzami państwowymi, które dotychczas nie dały pozytywnego wyniku. Propozycja transmitowania ekumenicznego nabożeństwa wigilijnego spotkała się z odmową, uzasadnioną zbyt późnym zgłoszeniem propozycji.

Dla Kościołów mniejszościowych radiowa transmisja nabożeństwa ma bardzo ważne znaczenie. Wierni są rozproszeni na dużym obszarze, niekiedy dotarcie do najbliższego kościoła jest dla nich bardzo trudne, czasami wręcz niemożliwe. Chorzy w domach i szpitalach, pensjonariusze w domach opieki nie mają swoich kapelanów. Dlatego właśnie usilnie zabiega się o udostępnienie anteny PR w terminie jak najbliższym.

Z NASZEGO KOŚCIOŁA

● W dniach 25 i 26 października 1980 członkowie parafii ewangelicko-reformowanej w Warszawie upamiętnili setną rocznicę poświęcenia swego kościoła uczestnictwem w święcie zboru, na które przybyli również współwyznawcy z innych miejscowości. Uroczystość rozpoczęła się w sobotę po południu od wspomnień i dyskusji na temat roli, jaką w życiu parafian spełnia budynek kościelny. Z wypowiedzi wynikło, że jego przetrwanie wśród zgliszcz i ruin Warszawy jest żywym symbolem istnienia zboru reformowanego, jest miejscem oddawania czci Bogu i szukania u Niego pociechy, nadziei i ocalenia, świadkiem głębokich przeżyć religijnych i duchowych, a także ośrodkiem, wokół którego koncentruje się całe życie chrześcijańskiej wspólnoty.

W sobotni wieczór i w niedzielny poranek odbyły się nabożeństwa z udziałem współwyznawców i gości z bratnich Kościołów. W czasie nabożeństw serdeczne pozdrowienia i życzenia Bożego błogosławieństwa w dalszej pracy parafii i w życiu osobistym członków zboru przekazali: w imieniu władz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego p. Jan Baum, prezes Konsystorza, oraz w imieniu parafii ewangelicko-augsburskiej Św. Trójcy w Warszawie ks. proboszcz Jan Walter.

Z PRASY

Specjalnej wysłanniczce „Polityki"*, Tamarze Kruczkowskiej, udało się uzyskać wypowiedzi trzech członków komisji powołanej na początku roku 1980 przez Radę ds. Kompleksowego Problemu „Cybernetyka" przy Prezydium Akademii Nauk ZSRR. Zadaniem komisji jest wszechstronne zbadanie szczególnych właściwości organizmu ludzkiego (zwłaszcza tzw. pola biologicznego) i jego oddziaływania na inne organizmy (żywe, martwe i nieożywione), i odwrotnie — wpływu np. biopola kryształów na organizm człowieka. W skład komisji wchodzi wielu uczonych reprezentujących różne dziedziny nauki. Ich poglądy daleko odbiegają od obrazu świata prezentowanego i uznanego przez współczesną naukę i w Związku Radzieckim wywołują — jak piszą redaktorzy „Polityki" — gorące dyskusje i ostrą krytykę.

Jeden z członków wspomnianej komisji, prof. Arsenij Miedielianowski, kierownik Laboratorium Systemowych Mechanizmów Homeostazy, wypowiedział przed wysłanniczką „Polityki" następującą opinię:

„... Uważam, iż nie jest słuszne twierdzenie, że takie niezwykłe możliwości organizmu nie mogą występować tylko dlatego, że nie zostały zbadane przez naukę i w dzisiejszej swej formie nie wkomponowują się w ogólny system naszych naukowych poglądów...".

Inny uczony radziecki, prof. dr filozofii Aleksander Spirkin, kierownik Oddziału Materializmu Dialektycznego Instytutu Filozofii AN ZSRR, w następujących słowach określa główny cel badań oraz już osiągnięte wyniki:

„Nasze główne zadanie polega na kontynuowaniu badań eksperymentalnych, które wykazałyby niezbicie sam fakt istnienia pola biologicznego i jego niezwykłych cech. Ponieważ — w przeciwieństwie do nas — wielu ludzie nie uznaje tego zjawiska, powtarzamy wielokrotnie nasze badania za pomocą najprzeróżniejszej aparatury. Chcemy wykazać niezbicie, że takie pole istnieje. Na tym jednak nie koniec — musimy także wykryć jego wielorakie właściwości. Dotychczas ustaliliśmy jedynie jakościową charakterystykę pola biologicznego. Nauka nie może jednak na tym poprzestać (...) Problem polega na tym, że nie jest to pole fizyczne, lecz biologiczne, bardzo „delikatne", obrazujące stany emocjonalne i intelektualne człowieka, jego wolę, osobowość. Na przykład człowiek o wysokim morale ma inną barwę pola niż człowiek zły... Dlatego też zwykłe wykrycie pola za pomocą przyrządów nie na wiele się zdaje. Sprawa jest znacznie poważniejsza.

... Prowadzimy także ciekawe badania nad roślinami i oddziaływaniem na nie tego pola biologicznego. Pozwoli to na dokładniejsze poznanie istoty tego pola i istoty samych roślin.

... Prowadzimy ciekawe badania nad biopolowym oddziaływaniem na człowieka kryształów. Okazuje się bowiem, że niektóre z nich wykazują taką biopolową strukturę, która korzystnie wpływa na zdrowie

* „O jasnowidzach, czyli wielości światów", tłum. Jerzy Herlinger, „Polityka" 1980, nr 51—52.

człowieka. Inne oddziałują nie tak aktywnie, a niekiedy wręcz szkodliwie.

... Występowanie pola biologicznego odbierane jest subiektywnie jako odczucie kłucia, przyjemnego ciepła, chłodnego wiaterku, oporu powietrza. Najbardziej uzdolnieni ludzie, których nazwałem „ekstrasensami", mogą widzieć pole biologiczne, przy czym niektórzy z nich dostrzegają nie tylko pole zewnętrzne (aurę), jak gdyby opatulające cały organizm (lub jego część, np. palec), lecz także wewnętrzne — poszczególne organy, krwiobieg, bicie serca, pracę wątroby, zawartość żołądka, jelit itp. Takie niezwykłe zdolności wykazują zresztą tylko nieliczni. Nasi uczeni przeprowadzili liczne doświadczenia, które wykazały ponad wszelką wątpliwość, że **pole biologiczne wypromieniowywane przez organizm człowieka, zwierzęcia czy rośliny istnieje naprawdę.**

... Znane nauce pola — elektromagnetyczne, magnetyczne, ultradźwiękowe — są składowymi pola biologicznego człowieka. Jednak nie one stanowią podstawę biopola. Wspomniane pola fizyczne można ekranować: jeżeli pomieszczenie, w którym znajduje się odbiorca, zostanie w odpowiedni sposób odizolowane, pola te do niego nie dotrą. A tymczasem efekt oddziaływania telepatycznego pozostaje niezmienny! To wewnętrzne pole jest więc czymś nowym. **Jest to**, moim zdaniem, **forma takiej składowej wszechświata, której model będzie stanowił podstawę do stworzenia ogólnej teorii pola**, poszukiwanej przez fizyków...

... Wysuwamy koncepcję, że **organ, który uległ kiedykolwiek jakiemuś schorzeniu, zachowuje o tym informację na całe życie.** Człowiek, umiejący posługiwać się biopolową diagnostyką, potrafi stwierdzić, na co i kiedy chorował dany pacjent. Nie dość na tym — może on także stwierdzić, jaki jest stan psychofizjologiczny organizmu w danym momencie. Dzięki tej metodzie można na przykład wykryć guz rakowy w początkowym stadium jego rozwoju.

Pole biologiczne można zastosować nie tylko do celów diagnostycznych, lecz również leczniczych (...) „Ekstrasensi" wysyłają ku odpowiednim organom pacjentów impulsy biopolowe i dokonują korelacji pola biologicznego tych organów. Korekcja pola pozwala unormować funkcjonowanie danego organu...

Doświadczenia przeprowadzone przy współudziale inż. W. Safonowa wykazały, że **pole biologiczne oddziałuje na znaczne odległości**, np. między Moskwą a Duszanbe. Przeprowadziliśmy doświadczenia również z innymi „ekstrasensami", których oddziaływanie odnotowaliśmy między Moskwą a Leningradem. Nie ulegało ono żadnym zakłóceniom... Jestem zdania, że **pola biologiczne można rozpatrywać jako nie znany dotychczas energetyczny aspekt naszego życia duchowego, decydujący m.in. o sile woli, myślach itp.** (...) Problem „mózg i świadomość" staje więc przed nami w zupełnie nowym świetle! Zaczynamy głębiej pojmować istotę materii, współzależność pomiędzy tym, co materialne, a tym, co duchowe; w zupełnie innym świetle musimy rozpatrywać problem woli...".

I wreszcie głos inż. Władimira Safonowa, głównego „ekstrasensa" występującego w doświadczeniach uczonych radzieckich. Cytuję obszerne fragmenty jego wypowiedzi, a zwłaszcza wnioski końcowe, do jakich dochodzi ten materialista na podstawie obserwacji i doświadczeń z własnym polem biologicznym oraz biopolem ludzi i zwierząt zmarłych dawno temu. Sądzę, że ta część wypowiedzi inż. Safonowa najbardziej zainteresuje Czytelników. A wnioski wypływające z jego wniosków niech każdy próbuje wyciągnąć sam.

„... Znamy trzy sposoby przesyłania energii biologicznej (...) Pierwsza metoda — kontaktowa, dotykowa — nigdy mnie nie interesowała, choć jej nie odrzucam. Podczas jej stosowania nieuchronnie występują takie uboczne zjawiska, jak zwykłe nagrzewanie dłońmi chorego miejsca, a więc promieniowanie podczerwone, jak również pewne elementy masażu i psychoterapii. Dlatego sceptycy, zawsze stawiając na pierwszym miejscu te uboczne oddziaływania, odrzucają to, co najważniejsze — istnienie pola biologicznego.

Metoda druga — bezdotykowa — oparta jest na wypromieniowywaniu na chorego energii z dłoni dawcy z odległości od 20 centymetrów do 1 metra, ale zawsze w obecności chorego. Ten sposób interesuje mnie najbardziej...

... Trzecia metoda oddziaływania, tzw. zaoczna, może być zastosowana na odległość kilku metrów, kilometrów, a niekiedy kilku tysięcy kilometrów, przy czym odległość od obiektu, na który mamy oddziaływać, nie odgrywa żadnej roli.

Można by zadać następujące pytanie: czy to wszystko nie jest przypadkiem tylko sugestią, której ulegają zarówna nadawca, jak i odbiorca? Czy można poważnie traktować subiektywne wrażenia i odczucia? Może jest to po prostu psychoterapia, a w najlepszym wypadku nie znane oddziaływanie hipnotyczne?

Podczas pierwszych dwóch lat prób sam zadawałem sobie podobne pytania, szukałem więc takich metod, które umożliwiłyby mi bezstronne ustalenie prawdy (...) Tak więc podczas eksperymentów posłużyłem się takimi przyrządami, jak elektroencefalograf, kardiograf, tenometr, chromatograf i inne. W ciągu kilku lat sprawdzono w ten sposób mój stan przed wysłaniem pola biologicznego, w momencie jego emisji i po jej zakończeniu. Takie same badania przeprowadzono nad „obiektami" mego oddziaływania, a więc zbadano ich stan „przed", „w trakcie" i „po".

Uzyskano w ten sposób dokładne, statystycznie niepodważalne wyniki świadczące o tym, że u osobnika wysyłającego energię procesy fizjologiczne ulegają intensyfikacji: wzrasta ciśnienie tętnicze, zwiększa się tętno, wzrasta spożycie tlenu z każdej dawki wchłoniętej przez płuca (...) Inaczej wygląda sytuacja „obiektów" mego oddziaływania, moich chorych przyjaciół lub po prostu ochotników. U nadciśnieniowców ciśnienie spada, a u ludzi o niskim ciśnieniu wzrasta, przy czym wymiana tlenu i dwutlenku węgla również przebiega inaczej: zapotrzebowanie na tlen obniża się o około 20%, a niekiedy jeszcze bardziej.

Eksperymenty przeprowadzone przy użyciu elektroencefalografu, w chwili, w której oddziaływałem na mózg chorych epileptyków z są-

siedniego pomieszczenia (a więc zaocznie!), wykazały ponad wszelką wątpliwość, że nie może tu być mowy o promieniowaniu elektromagnetycznym, ponieważ chorzy zostali umieszczeni w ekranowanych kabinach. Zapisy, jakie otrzymaliśmy, świadczyły niezbicie o pozytywnym oddziaływaniu mego pola!

...Mniej więcej przed dziesięciu laty stwierdziłem, że przesuwając dłonie nad różnymi partiami ciała chorego zużywam więcej lub mniej swej energii, co umożliwiało podanie właściwej diagnozy: wiedziałem dokładnie, że ten sygnał został nadany przez chore serce, inny przez wątrobę, nerki itp. (...) Dzieje się to wszystko na zasadzie: „wiem i już, a dlaczego wiem, tego nie wiem". Są to pierwsze elementy tego, co zwykliśmy określać mianem jasnowidzenia...

Jak już wspomniałem, początkowo moje diagnostyczne eksperymenty obejmowały tylko ludzi, z którymi stykałem się osobiście. Z biegiem czasu spróbowałem jednak dokonać diagnozy osób jedynie na podstawie fotografii czy też portretów, a także z pamięci (...). Wkrótce opracowana została metodyka takich eksperymentów. Jeżeli dokładnie przyjrzę się fotografii lub rysunkowi, a następnie obejmę wizerunek swym „wewnętrznym widzeniem" (kontemplacja) i potraktuję fantom podobnie jak realnie istniejącego człowieka, wynik będzie taki sam! Nie zamykam przy tym oczu, gdyż obraz „wewnątrzwidzialny" nie nakłada się na przedmioty w polu mego widzenia. Po prostu wyciągam w jego stronę obie ręce i wypromieniowując w przestrzeń swą energię badam fantom, począwszy od głowy aż do stóp. I oto stwierdzam, że na pewnym poziomie (np. głowy, piersi, brzucha) wydatkuję znacznie więcej energii niż nad innymi częściami „ciała" mojego urojonego obiektu zaocznej diagnostyki. I to wszystko.

Najciekawsze jest jednak nie to. Najdziwniejsze rzeczy zaczęły się dziać wtedy, kiedy spróbowałem na podstawie fotografii, portretów, litografii i rzeźb dokonać diagnozy ludzi... nieżyjących. Już pierwsze eksperymenty dały oszałamiające wyniki. Okazało się, że fantom zmarłych przekazuje dokładnie takie same informacje o przebytych chorobach (a także i o przyczynie śmierci), jak i fantomy ludzi żyjących. Stwierdziłem także, że kiedy eksperymentuję z tymi wizerunkami w odosobnieniu, bez możliwości telepatycznych „podpowiedzi" ze strony krewnych lub znajomych zmarłych, efekt jest taki sam, a niekiedy nawet lepszy. Od razu nasuwa się więc wniosek, że tego typu wyniki świadczą w pewnym stopniu o jakimś pośmiertnym bycie, na którym opierają się niemal wszystkie religie i wierzenia świata. Jeżeli bowiem zachowana zostaje informacja o dosłownie wszystkich kiedykolwiek żyjących ludziach, to ten „bank pamięci" jest komuś potrzebny, po coś został utworzony. Jest rzeczą niemożliwą, by nikt nie korzystał z tego magazynu wielopostaciowych „ja". Przyroda na pewno kierowała się jakimiś względami, tworząc ten „dział wszechświata", w którym przechowywane są informacje o przyczynach śmierci i chorób niezliczonej liczby pokoleń ludzi.

Jestem materialistą, toteż wszystko to powinno mi się wydawać całkowitym absurdem. Tymczasem liczba faktów rozwiała moje wątpliwości — informacja zostaje zachowana! Jeżeli więc ja jestem w stanie odtworzyć ją jedynie w postaci dwóch czynników — określając przyczynę śmierci i choroby przebyte za życia — ktoś inny, zdolniejszy ode mnie, potrafi może wyciągnąć z niej znacznie obszerniejsze wnioski?

Oczywiście informacja, jaką otrzymuję, nie pochodzi z emulsji fotograficznej, warstwy farby czy jakiegoś innego materiału zastosowanego do przekazywania wizerunku człowieka, lecz z pewnej, nieświadomie wykrytej, indywidualności, unikalności każdej istoty. Każdej istoty, a nie tylko człowieka...

...Udałem się (...) do Muzeum Paleontologii (...) Istnieją podstawy do przypuszczeń, że również tam, na kompletnych szkieletach dawno żyjących zwierząt i wymarłych gadów, udało mi się wykazać istnienie „banku pamięci". Prawie wszystkie zbadane przeze mnie szkielety wykazywały jedną i tę samą „strefę śmierci" — klatkę piersiową...

... Od niedawna zainteresowałem się także problemem odczytywania informacji o zdrowiu lub śmierci dorosłego człowieka na podstawie fotografii wykonanej w dzieciństwie, nawet wczesnym. Wydawałoby się przecież, że rysy twarzyczki dziecka mają niewiele wspólnego z pomarszczoną twarzą starca, zwłaszcza że nawet najdokładniejsze porównania dwóch takich zdjęć nie wykazały owych indywidualnych cech nie zmieniających się z biegiem lat. A przecież muszą one występować, w przeciwnym bowiem wypadku nie byłoby mowy o podłączeniu się do „indywidualnego pola" osobnika. Jest ono najprawdopodobniej odbierane całkowicie podświadomie, bez jakiejkolwiek kontroli ze strony trzeźwego rozsądku.

I tutaj właśnie okazały się pomocne pewne, dotychczas zresztą nieliczne, eksperymenty z przedmiotami nieożywionymi, podczas których okazało się (to oczywiście wymaga dalszych, licznych badań), że ich jednolitość lub niejednolitość znajduje gdzieś swoje odbicie, i również jest rejestrowana. Jeżeli w przyszłości fakt ten zostanie potwierdzony, można będzie zastanowić się nad hipotezą, że żyjemy w świecie, który w jakimś n-tym wymiarze jest wzajemnie powiązany i znajduje swoje odbicie w jakimś innym, towarzyszącym nam świecie, w innej materialnej przyrodzie; jest to coś, co znajduje się jak gdyby poza lustrem, w którym, jak na taśmie filmowej, zostaje utrwalone wszystko to, co dzieje się w tej chwili, to, co działo się kiedyś i — któż wie? — może również to, co dopiero będzie się działo!".

Opr. B. St.

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres redakcji i administracji: al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa. Telefon: 31-23-83 — Redakcja, 31-45-22 — Administracja. Prenumerata w kraju: roczna — 92 zł, półroczna — 46 zł. Zagraniczna roczna — 184 zł. Cena numeru pojedynczego — 8 zł.
Konto: PKO Warszawa VIII OM, nr 1586-3854-136. Do nabycia we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 8 zł

RSW „Prasa-Książka-Ruch" Zakł. Graf. W-wa, z. 25-81/O L-114. Nakł. 1800